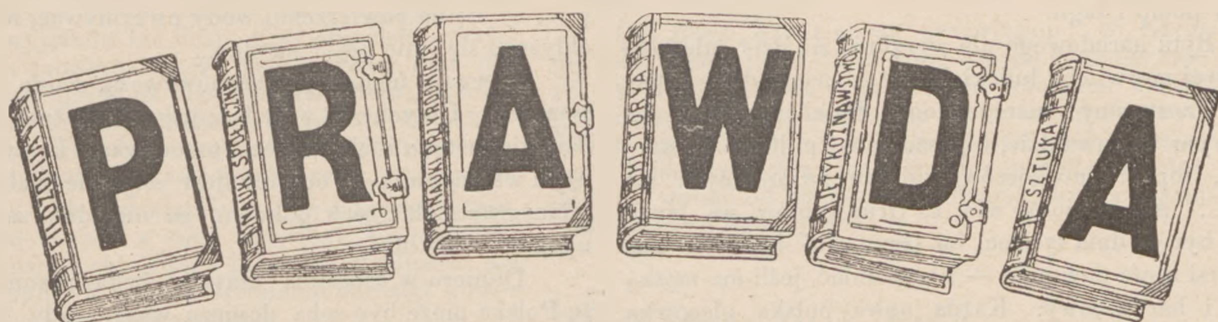
Nr 29 (1539). Warszawa, 16 lipca 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Na polu walki.

W chwili, kiedy słowa niniejsze zjawią się przed oczami czytelników, Kraków, a z nim cała Polska, święcić będzie wspomnieniem wielki dzień tryumfu zjednoczonych polsko-litewskich wojsk nad krzyżacką nawałą.

Po przez odległość 5 wieków ze zmieszanym uczuciem chluby i żalu spogląda dzisiejszy myślący Polak na teren walk epokowych: *chluby*, bo dokonano tam czynów olbrzymich, *żalu* — bo nie umiano z nich skorzystać, bo w ciągu paru stuleci obrócono w niwecz krwawy mozół Jagiełły...

Nie po to piszemy te słowa, by wprowadzić zgrzyt niewczesnego krytycyzmu w podniosły nastrój Rocznicy. Przestroga to i napomnienie współczesnej nam generacji, która wszak nie na jednym tylko, lecz na tysiącznych polach walki zwierać się musi codziennie z wrogiem dziś bardziej, niż kiedykolwiek potężnym, zuchwałym, bezwzględnym... A tysiąc drobnych przewag w tej walce niemniej znaczy, niż jedno walne zwycięztwo, ale trzeba chcieć i umieć każdą korzyść wyzyskać, pogłębić, utrwalić.

* * *

Kiedy przebrzmi hejnał krakowski, ognie uniesień zagasną, tłumy upojone wspomnieniem, ze wzdętą od wzruszeń piersią, z wizją Grunwaldu w oczach opuszczą prastary gród — *co dalej?* Czy odejść mamy z tym uczuciem czczości, jakie sprawia każda bengalska *féerie* skończona w czadzie i dymie?

Byliśmy kiedyś marsowym plemieniem, groźnym na placu boju, w sto tysięcy brzeszczotów zbrojnym — czy dziś poprzestać mamy na retrospektywnej rewji naszych przewag?

Odpowiadamy: *nie!* I dziś, jak 500 lat temu, stanąć musimy do boju — wszyscy co do jednego. I nic to nie znaczy, że nie posiadamy armat ani bagnetów.

Istotą wojny jest *planowa akcja.* Ześrodkowanie sił w danym miejscu, sztuka przewidywania zawczasu możliwych przeszkód i umiejętność brania ich we właściwej chwili — oto zalety, co niechybne dawały zwycięztwo w ręce wielkich zdobywców — jednostek i *narodów.*

Dziś — samo życie, w rozlicznych przejawach, jest nieobjętym polem walki. Skromna pracownia uczonego jest obecnie najczęściej arsenałem zwycięskich pomysłów, które w niewielkim czasie świat szturmem wziąć mogą; każde zrzeszenie ludzi pracy tworzy obóz warowny, każdy związek myślicieli jest jeneralnym sztabem, kuźnicą skrzydlatych idej; dobrowolne, świadome, celowe *współdziałanie* rychlej do zwycięstwa wiedzie, niż najsurowszy rygor militarny... Dziś narody ostrogi rycerskie zdobywają nie w orężnych zapasach, lecz na boisku Pracy i Wiedzy—a rozprawy zbrojne, jako czynnik wtórny, końcowy, ową główną przewagę przytwierdzają, wszystkim oczom widomą ją czyniąc, wszystkim pojęciom dostępną, wszystkim zmysłom namacalną.

Jeśli jest prawdą bezsprzeczną, że zwycięskiej w r. 1871 wojny dokonał pruski nauczyciel ludowy, to niemniej przyznać należy, że w ekspansji giermańskiej na Wschód, w najeździe na nasze ziemie, prym dzierży przemyślny kupiec, fabrykant, kolonista...

* * *

Co czynić ma naród, który żyć chce, który pragnie być wielkim i silnym, a nie może wystawić w polu kroci tysięcy wojsk? *Niech czyni tak, jak Czesi.*

Niech zdobędzie się na to, by każda jednostka w narodzie była jego członkiem *świadomym* i *czynnym*

świadomym nie praw tylko, ale i obowiązków, czynnym nietylko prywatnie, lecz i publicznie. Dla nieużytków, dla pasorzytów, dla biernych — nie powinno być miejsca. Jak na zagrożonym okręcie—wszyscy do pomp i żagli!

Bytu narodowego nie wyrąbuje się dziś mieczem w żywej gęstwi ciał ludzkich: sny o „rycerskiej szpadzie" zostawmy marzycielom. Batalista-poeta śni o nowym Grunwaldzie, o poszumach pułków hussarskich, łopocie proporców, zgiełku zwierających się armji... Ale socjolog wie, że Grunwaldów na jawie może być co dnia tysiące, bo Grunwald każdy z nas w piersi nieść powinien — i wypełniać, jeśli ma męską wolę i hart bojowy: Każda nowa polska placówka na Śląsku jest Grunwaldem; jest nim również każda piędź ziemi poznańskiej, wydarta hakacie z pyska, zbrojnego miljardem srebrnych marek i trzema miljonami bagnetów. Wojennych cnót miał dość „Bartek Zwycięzca" — i cóż? Niemiec z nich korzystał, a jeszcze pomiatał wojakiem. Wojennych cnót mogą nie mieć ci chłopi, co w tych dniach półtora miljona marek złożyli na parcelację dóbr niemieckich — ale to są przecież prawdziwe Bartki-zwycięzcy.

* * *

Dwie obserwujemy metody, dwa sposoby walki o byt narodowy w społeczeństwie, jak nasze, spętanym i zagrożonym.

Jeden sposób polega na wyrzeczeniu się energji kinetycznej, będącej instynktem ruchu twórczego, parciem ku coraz nowym dorobkom i perspektywom rozwoju; natomiast zalecanym bywa poprzestawanie na *status quo* egzystencji, sprowadzonej do kilku podstawowych pierwiastków, do kilku cech prymitywnych: język, kościół, rodzina...

Drugi sposób upatruje rękojmię bytu i dźwigania się stopniowego ku górze z upadku i poniżenia — w wartkim pochodzie rozwojowym, w sztuce wprawienia w ruch twórczy wszystkich motorów życia, wszystkich trybów i transmisji, w przejmowaniu czujnym od ludów szczęśliwszych najnowszych ich dorobków, w ciągłym baczeniu, aby utrzymać się na równym z nimi poziomie — wzorem pływaka, który musi dbać o to, by się na powierzchni wody utrzymywać, nie zachłysnąć się i nie pójść na dno...

Pierwsza metoda jest zachowawczą, druga — postępową. Dotychczas w Polsce prym dzierżyła niepodzielnie metoda zachowawcza, przerywana konwulsyjnymi wstrząsami — i ona też jest odpowiedzialną za bilans ostatnich trzech pokoleń, za niejedne zawody, upokorzenia i błędy.

Dopiero w ostatnich czasach świta rozumienie, że Polska może być sobą dopiero wtedy, gdy będzie Polską ludową i wolnomyślną... I jako taka potrafi nietylko świętować Grunwaldy, lecz — dokonywać.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W zgiełku wojen religijnych XVII-go wieku, kiedy czynnik wyznaniowy górował nad całym życiem publicznym Europy, ukuto w Anglji heretyckiej formułę przysięgi koronacyjnej o następującym brzmieniu: „Oświadczam uroczyście i szczerze wobec Boga, że nie wierzę, aby w Sakramencie Eucharystji było jakiekolwiek przeistoczenie chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, ani w chwili, ani też po konsekracji przez kogokolwiek. Twierdzę również, że wzywanie i cześć Matki Boskiej, czy też jakiegokolwiek Świętego i ofiara mszy, jak są w użyciu w kościele rzymskim, są przesądem i bałwochwalstwem".

Ten sakramentalny ustęp, wmurowany w angielskie prawo zwyczajowe, przetrwał wieki, jak każda tradycja w tym kraju. Dziś jednak stanowi bezsprzeczny anachronizm, rażący i niestosowny. Nie dlatego bynajmniej, iżby Anglja poczuć miała nagłą sympatję do Watykanu, zwłaszcza teraz, po encyklice *Editae saepe*, lżącej „zbuntowanych katolików" XVI i XVII wieku, a więc i angielskich reformatorów. Ale dziś

Wacław Grubiński.

JERZY.

Nowela nienagrodzona na konkursie *Tygodnika Illustrowanego.*

(Ciąg dalszy).

Poszedł do jadalni. Tu sobie przypomniał, że widział w kredensie rano odkorkowaną butelkę sauterne'u Sprawdził, stała rzeczywiście, a przy niej kieliszek — dotąd nie umyty. Nalał w ozdobną szklaneczkę przezroczystego napoju i z lubością wypił. I znów nalał pełno, zapełno, aż z górą! Umaczał usta w bursztynowym płynie i wciągnął go w siebie. Potym mlasnął językiem i znów smakowicie wciągnął w gardło duży, tęgi łyk jedwabistego, jasnozłotego wina. Nikt mu nie powiedział: dosyć! — bo mu wolno robić, co mu się podoba! pić, choćby butelką! Więc wypił do dna! I nalał trzecią szklaneczkę. Postawił; poruszył; ale już nie tknął. Czuł w gardle gorąco. Poszedł do salonu, gdzie rozświecił amplę; potem do sypialni matki, potem na kurytarz, do swego pokoju, do garderoby, do wanny, do kuchni — wszędzie zapalając światła.

I wrócił do kasy. Na niemych zawiasach odchylił do końca pierwsze grube drzwiczki; następnie drugim kluczykiem otworzył drugie drzwiczki (gładką ściankę stalową), i zajrzał do wnętrza. Znał je. Na półeczkach stały druciane wanienki — dwie zupełnie próżne, inne bielejące rulonami monet. Niżej drewniane pudełka, pełne dokumentów, sterczały ku górze źle domkniętemi wiekami; obok leżała paczka silnie związanych weksli, związanych tak silnie cienkim czerwonym sznureczkiem, jak bywa ściśnięta w pasie przesadna strojnisia gorsetem. Otworzył skrzynkę-szafeczkę: tam stała szkatułka z tkwiącym kluczykiem w zamku. W tej szkatułce—wiedział—leżały klejnoty.

Wyjął ostrożnie z kasy druciane wanienki z pieniędzmi, obejrzał je z uciechą i wszystkie trzy rzędem ustawił na biurku. Rozwinął wierzchni rulon i z stukotem sypnął na zielone sukno lśniące imperjały. Rzucił wzrokiem po oknach: story i rolety były zapuszczone. Zaświecił jeszcze jedną elektryczną lampę — biurową — i śpiesznie jął rozwijać dalsze ruloniki i rozsypywać je ciężko na biurko. Mięsiste papierki, z których wyłuskiwał, niby z białych strąków, ładne dźwięczące owoce, ronił na posadzkę. Miał je zamiar póź-

różni Anglję od Watykanu nietyle sprzeczność wyznaniowa, ile poziom kultury tolerancyjnej i świeckiej. Dziś, na szczęście, różnice religijne nie dzielą ludzi na obozy śmiertelnie sobie nienawistne; miano „heretyka" nie jest już ani obelgą, ani wyrokiem zagłady. Jednostki mogą jeszcze nie być obojętnymi religijnie, ale są nimi rządy; wyjątków nie liczę. Król angielski, w wieku XVII-ym „obrońca wiary" nadewszystko, dziś odsuwa sprawy religijne na plan niemal ostatni, przekazując je równo prawnym kościołom, sektom, związkom wyznaniowym i klubom teoroficznym — a wreszcie — intymnej świadomości każdego ze swych poddanych.

W myśl tych przemian i zgodnie z duchem czasu, postanowiono usunąć z roty przysięgi koronacyjnej pomieniony ustęp; aby jednak luki w tym miejscu nie wytworzyć, ukuto formułę o brzmieniu bardziej nowoczesnym, choć z tradycją zgodnym.

Przeszła ona w tych dniach w Izbie Gmin 383 głosami przeciw 42 i w tymczasowej redakcji tak się przedstawia:

„Uroczyście i szczerze, wobec Boga, oświadczam, że jestem wiernym wyznawcą kościoła protestanckiego reformowanego, opartego na prawie w Anglji i że, stosownie do celu niniejszej deklaracji, mającej na celu zapewnienie następstwa protestanckiego na tronie po moim panowaniu, trzymać się jej będą, według możności i praw".

Stwierdzić tedy wypada, że w burzliwym zatargu wyznaniowym między Niemcami i Rzymem z powodu encykliki *Editae saepe*, zwyciężyła... Anglja, okazując pobłażliwą wyższość nad fanatyczne spory.

Ogłoszono tekst umowy rosyjsko-japońskiej, zawartej d. 4 lipca 1910 roku. Umowa jest właściwie aktem dodatkowym do konwencji z d. 30 czerwca 1907 roku i „utwierdza *status quo* na Dalekim Wschodzie", pod czym rozumieć należy niezaprzeczone już prawo Japonji do zwierzchnictwa nad Koreą oraz wolną rękę tegoż mocarstwa w mandżurskiej polityce kolejowej. Artykuł 3 umowy głosi co następuje: „W razie jakichkolwiek wydarzeń, mogących zagrażać wyżej wspomnianemu *status quo*, obie wysokie, zawierające ze sobą umowę, strony będą za każdym razem porozumiewały się ze sobą... odnośnie środków, które uznają za konieczne w celu utrzymania powyższego *status quo*".

Umowa nie jest niespodzianką. Dwaj komparsi Trójporozumienia — Anglja i Francja — po zeszłorocznym alarmie na Bałkanach nabrały przekonania, że Rosja jest w Europie fikcyjną potęgą, nie mając zabezpieczonych od Wschodu pleców. To też ze sporą satysfakcją widzą dyplomaci z *Foreign Office* i z *Quai d'Orsay* dokonaną z tej strony asekurację. Czy wystarczy — rzecz inna.

Czy Rosja, nawet mając „rozwiązane" w Europie ręce, potrafi użyć ich czynnie—to się niedługo okaże. W każdym razie dwaj znowu komparsi strony przeciwnej — Austrja i Niemcy — nie zdradzają zbytniej trwogi. Natomiast z drugiej półkuli dobiega sarkanie Jankesów, którzy mają rzetelne powody nie ufać Japonji, wolnej od kłopotów mandżurskich i panującej nad Oceanem Spokojnym.

Ziemstwa w Litwie.

Ruś idzie — to hasło bojowe nacjonalistów rosyjskich z obozu Markowych, Puryszkiewiczów et tutti quanti.

Pod hasłem tym rozumieją owi „patryjoci" szczególnego gatunku tłumienia kultur inorodczych i propagandę za pomocą pięści i nahajki idej centralistycznych. Nie pomogły naiwne flirty na ucztach u Dodona, nie pomogły obietnice lojalności „bez zastrzeżeń", nie przekonały tych panów pakty neosłowiańskie przy współudziale Bobryńskich, Wergunów, Komorowych, nie wzruszyły tarzających się w szale demencji nacjonalistycznej panów Krupeńskich i innych — ugodowe stanowisko Koła polskiego bez szemrania uchwalające formułki Anrepa. Jeszcze raz — i oby ostatni — przekonali się Polacy, że polityka, o ile opiera się na warstwach reakcyjnych, jest zupełnie niezależną od stanowiska społeczeństwa polskiego względem państwa.

Sam fakt, że my istniejemy, że pomimo tak fatalnych warunków politycznych i społecznych nie upadamy, że nie wyrzekamy się odrębnej duszy narodowej, że mówimy po polsku — drażni wybujały nacjonalizm panrosyjski i nazwę szalonym marzycielem tego, kto mniema, że „kataryniarstwem" lub podobnymi aktami da się przetworzyć opinję sfer decydujących i zmienić dany kurs polityki.

Poglądową lekcję polskim marzycielom, fałszywie nazywającym się realistami i panom kresowym,

---

niej sumiennie pozbierać, i podług oznaczonych atramentem kwot, wypełnić znów imperjałami, pięcio i dziesięciorublówkami — gdyby oczywiście zechciał swą fantazję ukryć przed powracającym za kilka dni ojcem. Ale czy ją zechce ukryć, och, czy zechce, zechce... Czyliż to wiadomo!? Tymczasem się śmieje! Zgarnia złoto w kupki i rozgarnia je palcami po zielonym suknie. Tyle ślicznych krążków! Ojciec się szykuje do jakiejś wypłaty. Szemrzą pod dłoniami setki i tysiące. Ileż rozkosznych rzeczy można za nie dostać, za te kilka garści rudawego kruszcu! ile szalonej radości, ile upojeń, których się nie zna z imienia! Alcż ta ciężka, ta twarda, żółta garstka blaszek — to *wszystko* na świecie! Więc on ma *wszystko*, ma wszystko na świecie! w swoim ręku! trzyma! w własnych palcach! puszcza z rąk i chwyta! bierze po jednym pieniążku, lub garścią! jak mu się podoba! jaka jego wola!

Głośno się roześmiał. W zapalonych ślepiach namiętnego chłopca złocił się szatańsko duch rozsypanego skarbu, w którym lubieżnie grzebał czułemi palcami. Dłonie miał gorące, uszy mu nabiegły purpurową krwią, w jego wyobraźni rozgrzanej, tętniącej, zabarwiła się jaskrawo, jak brylant śród świateł, ta czarowna pani, uśmiechnięta, smukła, kobieta z cukierni! Jakżeż by ją pragnął mieć teraz przy sobie, robić z nią co zechce, z taką lubą, uprzejmą, kochaną! Kazał by jej usiąść, i ona by siadła; kazał by jej zdjąć kapelusz, i ona by zdjęła; gładził by jej wypieszczoną twarz... ująłby jej ciepłe, ciepłe rączki w swoje; nic by jej nie zrobił złego. Byłby dla niej dobry. Ona by była posłuszna. On by jej powiedział, patrząc na koniuszek stopy, obutej w wązki cacany trzewiczek: proszę podnieść — troszkę — odrobinę — suknię... proszę mi pokazać kostkę... cudną, cudną! Och, a teraz proszę... wyżej... wyżej, wyżej tę szumiącą suknię... i tę szeleszczącą halkę... chciałbym ogromnie zobaczyć... przez rozciągniętą przezroczą pończoszkę... ciało utoczonej łydki...

Jerzym szarpnął dreszcz — od wewnątrz. Upuścił na dywan kilka złotych sztuk z garści pieniędzy. Drgały mu powieki; drgała na nim skóra. Przeciągnął się tęsknie; wygiął grzbiet, jak lwiątko; napiął młode ścięgna. Zaznał w sobie pełno pulsującej mocy.

Oparł się o kasę. Po chwili w nią zajrzał. Wysunął szkatułkę — lecz zanim ją uniósł, dostrzegł w kącie kasy niewielki obrazek w perłowej listewce. Sięgnął... była to miłosna para Ledy i łabędzia. Śnieżno pióry ptak-kochanek brał dziko i tkliwie ciało jutrzenkowe pragnącej kobiety. Piersią cisnął jej łono. Dziobem szukał jej ust. Rozkosz przejęła omdleniem, jak jadem, wspaniałe uda kobiece, ramiona, a w napół rozwartych zapatrzonych oczach mgławiło się jedno

negującym postulaty narodowe w imię krajowości, zrozumianej w duchu ściśle państwowym, dali nacjonaliści, podczas obrad Dumy nad projektem wprowadzenia ziemstw do 6 gubernji białorusko-ukraińskich. Projekt ten dosadnie scharakteryzowany przez jednego z działaczy ziemskich, że to nie ziemstwo, lecz „świństwo" ma na celu wyeliminowanie liczebnie słabego, lecz kulturalnie silnego żywiołu polskiego i przeszczepienie coûte que coûte wpływów rosyjskich. Prawdziwy cel wprowadzenia owego samorządu należy widzieć w tendencji stworzenia nowego narzędzia do przemycania propagandy w duchu ultra nacjonalistycznym.

Punkt ciężkości całego projektu stanowi podział na kurje narodowościowe. Cały projekt przystosowany jest do tego, by zapewnić przewagę ludności rosyjskiej nad ludnością polską. Obawa przed rzekomym niebezpieczeństwem polskim widnieje z każdego najdrobniejszego szczegółu w projekcie — z drugiej strony projekt nie dowierza usamodzielnionej miejscowej klasie włościańskiej, podejrzewając ją o niepożądany radykalizm społeczny — i bojąc się, by ziemstwa kierowane przez radnych włościańskich, nie stały się ośrodkiem prądów odrodzeniowych kultur ludowych.

Ten skomplikowany węzeł Gordjasza projekt rozcina nader radykalnie, dając przewagę rdzennie rosyjskiej ludności, rekrutującej się z urzędników i nielicznych ziemian Rosjan, nader luźnie związanych z całokształtem interesów krajowych i w większości wypadków mieszkających poza krajem.

Ażeby dopiąć celu, użyto niezwykłych matematycznych obliczeń, opartych na fantastycznych danych statystycznych. Ziemian Rosjan jest stosunkowo niewielu, udział ich w ogólnej wartości nieruchomości jest również nieznaczny należało więc wprowadzić specjalną arytmetykę wyborczą, by zapewnić im przewagę. Przedewszystkim nader łaskawą dla tej kurji okazała się ministerjalna statystyka, która z najdrobniejszych ułamków czyniła jednostki, następnie ziemie apanażowe z łaski twórców projektu zostały ochrzczone, jako prawosławne, ryczałtem do kurji wszelkiej własności rosyjskiej zaliczono wszystkich luteran, kalwinów i mahometan. Liczebną masą i wartością ziemi pomogli i włościanie wyznania prawosławnego i staroobrzędowego.

Ziarnko do ziarnka — tu ułameczek, tu ziemia prawosławna, ówdzie włościanie liczni i coś nie coś posiadający i... ilość radnych kurji „rosyjskiej" wielkiej własności kosztem miejscowych włościan i kosztem ziemian polskich rosła.

Inaczej postępowano przy obliczaniu radnych pochodzenia polskiego, izolując ich umiejętnie od innych narodowości z obawy, żeby czasami mniejszość polska nie zdobyła jakiego zbytecznego miejsca w liczbie radnych, pomyślano troskliwie nad uszczupleniem ilości radnych i bezwzględnym stłumieniem wszelkiej akcji i inicjatywy obywatelskiej, podjętej nie z ramienia rządu. W całym projekcie góruje w pełni zasada opieki państwowej, sprowadzająca samorząd do zera, tłumiąc energję i wydajność, utrudniając zaspokojenie potrzeb miejscowych i podporządkowując w zupełności władzy gubernatora, którego pełnomocnictwa rozciągają się na określenie przynależności danej jednostki do tej lub innej kurji narodowościowej.

Zdawaćby się mogło, iż rzeczą słuszną będzie, by wyborca sam określał swą narodowość, zapisując się do tej lub innej kurji. Projekt rządowy inaczej zapatruje się na tę kwestję. Wyborca wszak może pomylić się przy określaniu swej narodowości—a to przy wspomnianej gieometrji wyborczej może obrócić w niwecz całą kunsztowną mozaikę prawodawców. To naturalnie nie może być tolerowane! Czy nie znacie jezuityzmu polskiego i intrygi polskiej. Dla uniknięcia więc podobnych niebezpieczeństw lepiej jeżeli należne miejsce wyborcy zostanie wskazane przez gubernatora miejscowego. Naturalnie, że w pierwszym rzędzie „uriadnik" będzie tu miał głos decydujący i będzie określał narodowość.

Nie zaniedbano interesów licznej rzeszy czynowników — wszyscy funkcjonarjusze samodzielnych gałęzi administracji w samorządzie powinni być pochodzenia rosyjskiego, funkcjonarjusze zajmujący zaś stanowiska podrzędne powinni być w składzie swym w połowie przynajmniej pochodzenia rosyjskiego.

Uczyniono to, że urzędnicy nie Rosjanie, jak zapewniają twórcy projektu mogliby wzbudzić *niechęć* (sic) w masie włościańskiej, ponieważ włościanie przyzwyczaili się już uważać jako istotnych urzędników wyłącznie Rosjan. Ten ostatni dowód nie wymaga chyba komentarzy.

---

bezcenne wyznanie: och, jak mi dobrze, łabędziu. łabędziu! Twarz chłopca oblała ziemną łuną żądza. Nie wiedział, co począć. Płonął. Od bijącej w górę, jak kipiące źródło, krwi szesnastoletniej dostał zawrotu głowy. Stracił równowagę i musiał się oprzeć rękami o fotel. W palcach trzymał obrazek. Gdy odsłonił źrenice na chwile przymknięte, to gorący wzrok upadł nieomylnie na różowe ciało szczęśliwej kochanki. . Podszedł do kanapy. Usiadł. Oparł czarowny obrazek o brzeg jedwabnej poduszki i patrzył w Ledę. Widział, że podźwiga główkę i przechyla, że porusza torsem, że drga łonem czującym, że jej wiśniowe wargi szepcą w upojeniu prośbę pokorną o jeden oddech wolniejszy, bo doznawane szczęście jest nadto potężne! jest nie do zniesienia! Chłopiec się wyprężył, wyprężył boleśnie. Ział z niego ogień wewnętrzny, nieledwie widoczny i którego szum gorący niemal było słychać; rozprażone ciało tchnęło cichym żarem, jak czerwone węgle. Jerzy się wyciągnął wolno na kanapie, roztęskniony, z jękiem... Pragnął tak jak łabędź... Smukła pani z cukierni, powabna, kusząca, stała niedaleko i mówiła chłopcu:

— Jestem Leda... Rozbierz... będę twoją ..

I wilgotne usta zalśniły uśmiechem. Była szatańskiej piękności! Jerzy spazmatycznie drgnął. W oczy go uderzył czarny płat ślepoty. Łypnął powiekami i znów przejrzał jasno. Zgrzytnął wilczymi zębami. Zerwał się z kanapy. Poszedł do fotela taki zadyszany jak po ciężkiej walce, przesunął fotel niewiadomo czemu za kasę, pod ścianę... sapiąc okrążył biurko. Wgłębił ręce w kieszenie i bezmyślnie stanął, prawie opierając czoło o firankę Zbiegł go zimny dreszcz. Ręce jeszcze bardziej wcisnął w dwie kieszenie spodni... zmarszczył się i zaczął szybko chodzić.., Przeszedł do jadalni, zajrzał do salonu, zbłądził na kurytarz, i znalazł się w kuchni. Na półkach błyszczały miedziane naczynia... Zbliżył się do drzwi schodowych. Przekręcił klucz w zamku i odsunął zatrzask. Bez zastanowienia otwarł drzwi na rozcież. Na kamiennych schodach panowała noc. W drugim końcu sieni — drzwi kuchni sąsiedniej przesączały linię żółtawego światła.

Jerzy, po namyśle, chrząknął. Do drzwi nikt nie podszedł. Wówczas Jerzy kaszlnął. Źle udany kaszel rozbił się echowo po klatce schodowej. Teraz z za progu wyjrzała dziewczyna. W rękach trzymała błękitną pończochę, napiętą na szklankę, czy na stłuczone szkło od lampy, co znacznie ułatwia cerowanie dziurek, — i pytająco i sennie patrzyła. Jerzy stał w milczeniu.

— Panicz jeszcze nie śpi? — rzekła ze zdziwieniem.

Przestąpił z nogi na nogę.

— Może czego potrzeba? — zapytała zaraz.

Interesy rosyjskie potężnie opancerzone. Reakcja zda się dopięła celu i znów nastaje na biednej skołatanej Litwie i Rusi ciemna i długa noc.

Piotr Zubowicz.

Kult bezpartyjności w Poznańskiem.

W ciągu ubiegłego miesiąca w życiu publicznym Poznańskiego zaszło kilka faktów godnych zastanowienia.

W początkach czerwca utworzył się i ukonstytuował *Związek Narodowy*, organizacja polityczna rzekomo bezpartyjna, mająca nawet między innymi na celu zwalczanie partyjności, a mówiąc bez osłonek raczej zwalczanie istniejących partji.

Jedyne stronnictwo dosyć silne i zorganizowane, t. j Towarzystwo Demokratyczne, będące też właściwym celem ataków, a uzasadniające rację bytu Związku Narodowego, odpowiedziało na wyzwanie zwołując w połowie czerwca własne walne zgromadzenie, na którym dokonało swej reorganizacji. Postanowiono liczbę członków Rady Głównej podnieść z 27 do 60-ciu, a zarazem zniżyć składkę minimalną z 3 marek na 1 markę. Obie te zmiany są symptomatem a zarazem wynikiem wewnętrznej demokratyzacji stronnictwa, z którym też istotnie połączył się cały narodowy ruch robotniczy.

Równocześnie jednak dokonano i zmiany formalnej przechrzciwszy Tow. demokratyczne na demokratyczno-narodowe. — przez co stwierdzono na zewnątrz jego pokrewieństwo z narodową demokracją innych dzielnic, a pozbawiono się popularnej i sympatycznej firmy, związanej z najpiękniejszymi tradycjami emigracji polskiej.

Zapewne, że nie należy do takich zmian formalnych przywiązywać wielkiej wagi. Choćby rzeczowe Towarzystwo istotnie nie uważało się za nic innego, niż za poznańską odmianę *endecji*, mogłoby ono na tle odmiennych warunków politycznych innym tchnąć duchem i innymi kroczyć drogami i inną spełniać misję niż jej zakordonowe mocno zdyskredytowane siostrzyce. Niemniej zmiana ta budzić może obawy, czy nie będzie stanowiła pretekstu do zamienienia samodzielnej wielkopolskiej organizacji w filję znanej firmy Dmowski, Głąbiński i Sp. i do rozszerzenia na zabór pruski eksperymentów, które gdzieindziej zakończyły się mniej lub więcej głośnym fiaskiem.

Łatwo zrozumieć, że epitet „narodowy" włączono do tytułu dla wytrzymania konkurencji ze *Związkiem Narodowym.* Wśród bezkrytycznych mas nie dość ugruntowaną jest jeszcze prawda, że jak nie wszystko złoto, co się świeci, nie wszystko jest narodowym, co się narodowym mieni.

W Poznańskiem jednak należałoby może liczyć na pouczający wpływ dawniejszych doświadczeń. Gdy po powstaniu bractwa hakatystów i zmianie kursu w Berlinie dawniejsza partja ugodowa, którą trafniej określano jako partję dworską, musiała uznać, że jej kierunek stał się anachronizmem, nie zmieniając ani personelu, ani programu przezwała się stronnictwem narodowym, w przeciwstawieniu do stronnictwa ludowego, będącego do niej w opozycji.

Dziś znowu ludzie tegoż samego kierunku, znani obrońcy „ładu i porządku", „tronu i ołtarza" — zainicjowali Związek Narodowy. W Warszawie zwałby się on „Związkiem Katolickim" i jeżeli kiedykolwiek proponowane u nas stronnictwo katolickie odbywać będzie publicznie swe organizacyjne zebranie, powinnoby się zaopatrzyć w autentyczne teksty mów pana K. Chłapowskiego lub d-ra Jackowskiego, którzy walkę o byt narodowy całkowicie uzależniają od walki za Kościół katolicki, w myśl maksymy, znanej jeszcze z czasów arc. Stablewskiego: „brońcie tylko ojczyzny niebieskiej — a ziemska dodana wam będzie, jeśli się tak Bogu spodoba". W Poznańskiem nazwa Zw. Katolickiego narażałaby na niebezpieczeństwo przyłączenia się różnych niemiecko-katolickich organizacji; z konieczności więc zasadniczą cechę nowej organizacji pominięto w jej tytule. a zaakcentowano tę, która nie ma żadnego związku z jej kierunkiem.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, aby obrona katolicyzmu była sama przez się motywem powstania Związku narodowego. Takie zasadnicze hasło skazywałoby go z góry na bezczynność, gdyż na miejscu niema przed kim katolicyzmu bronić, a w Berlinie, w rzadkich zresztą okazjach, czynią to bardzo skutecz-

---

— A tak, owszem... — zaczął.

— Herbaty?

— Herbaty.

Służąca wsunęła igłę w pończochową piętę i przeciągnęła nitkę.

— Już późno — spostrzegła.

— Nie, po jedenastej... — odpowiedział uczeń. — Chce mi się pić — objaśnił — a nie potrafię zapalić maszynki..

Na ustach dziewczyny zaigrał uśmieszek.

Jerzy się również uśmiechnął.

— Mam wszystko — ciągnął — spirytus, zapałki, nawet doskonały tort... Nie umiem jeść tortu, nie popijając herbatą.

— Wlewa się zwyczajnie spirytus do środka, potem się bierze... — nie dokończyła. — Zaraz pójdę zagrzać — powiedziała.

Wróciła do kuchni. Jerzy też się cofnął. Rzucił okiem na „blachę" wyjął z ściennej szafki butlę spirytusu... wtem weszła służąca. W milczeniu wzięła z rąk gimnazjalisty butlę spirytusu i napełniła nim denko maszynki.

Gdy pocierała złamaną zapałką o brzeg starego pudełka, spytał żarłobliwie:

— A dlaczego drzwi panienka nie zamknęła?

I drzwi zamknął.

Przeszyło go dziwne wrażenie. Był sam z ładną dziewczyną. Mógł z nią wszystko zrobić coby zechciał. Wszystko mu było wolno. Czuł że jego mięśnie nabiegają siłą. Stał od dziewczyny o skok. Krew przypłynęła mu z chukiem do głowy. Zaświstało w uszach. Musiał zaciąć usta, żeby nie wykrzyknąć. Serce w nim waliło, jak żelazny młot, i potrząsało młokosem rytmicznie. Przyszło najmocniejsze uderzenie serca .. mózg począł wirować... Wciąż nie odwracając popielatej główki, schylona dziewczyna poczęła coś mówić... Jerzy nie rozumiał. Ona powtórzyła. Jerzy z wielkim trudem i nie słysząc głosu, wymamrotał:

— Co..?

Senna jak gdyby dziewczyna jęła się wyprostowywać. (W wgłębieniu maszynki zachybotał ogień). Spojrzała na chłopca. Miała pod łukowatemi brwiami smoliste źrenice; płowy włos rozpylił się jej naokoło twarzy, jak cicha poświata; była postawna i krzepka jak dębczak.

Jerzy już ochłonął. Jeszcze mu dzwoniło w uszach akordami, jeszcze mu kipiała krew we wszystkich żyłach, aż węczały mięśnie, ale już panował nad wzburzeniem.

Chrząknął. Mógł już, choć zmienionym nieco głosem, cośkolwiek powiedzieć.

— Pali się...? — zapytał z chrypką, wciąż nie odwracając wzroku od smagłej dziewczyny.

nie niemieccy centrowcy przy stałej i gorliwej pomocy całego, bez wyjątku, Koła polskiego.

Główne tedy zadanie t. zw. Związku narodowego będzie niewątpliwie negatywne. Jest to jedna ze stale ponawiających się prób kneblowania wszelkiej opozycji w myśl popularnych haseł jedności i solidarności narodowej. Istotną monomanją polityków poznańskich jest jednomyślność; przedmiotem lęku, odrazy i potępienia, każda próba samoistnej krytyki. Nie chodzi tam już nawet o walkę z tym lub owym stronnictwem, lecz ze samym faktem tworzenia się stronnictw, z wszelką rozbieżnością dążeń, z różniczkowaniem się opinji, stanowiącym podkład partyjności. Ten ideał społeczny ani na jotę nie odbiega od pierwowzoru symbolizującego ludzkość w postaci jednej trzody pod laską jednego pasterza. Ponieważ trzoda nie krytykuje, nie rozumuje, nie pociąga pasterza do odpowiedzialności, zatym i naród „jednością silny" — jak się mówi — biernie i potulnie winien się poddawać komendzie i w tym leży kamień węgielny obywatelskiej cnoty.

Na tle takiego światopoglądu wciąż zmartwychwstaje myśl utworzenia jakiejś bezapelacyjnej, najwyższej instancji w sprawach narodowych, jakiejś instytucji stojącej ponad wszelkimi partjami rozstrzygającej bezwzględnie lub uciszającej despotycznie wszelkie spory, słowem jakiegoś trybunału uzbrojonego w gromy potępienia przeciw każdej samoistnej myśli. Jakkolwiek jednak tresura bierności i karności osiągnęła już w Poznańskiem zdumiewające rezultaty, niemniej nie może przekroczyć poza granice zakreślone przez przyrodę, która — jak wiemy — nie fabrykuje wedle szablonów, lecz tworzy nieskończoną rozmaitość. Stąd z jednej strony widzimy tam wprost osłupiające objawy uległości, która stała się już drugą naturą przeciętnego Poznańczyka, — z drugiej zupełną bezowocność wszelkich prób dalszego udoskonalenia w tym kierunku.

Oto naprzykład jeden z najświeższych faktów: w Kole polskim w Berlinie decyzja głosowania za listą cywilną zapadła przy udziale 4-ch obecnych posłów w ten sposób, że jedynie podwójny głos przewodniczącego ks. Jażdżewskiego większość na stronę jego wniosku przechylił. Tak było przed głosowaniem w komisji. Powtórnie zebrało się Koło polskie przed głosowaniem plenarnym w cokolwiek większym komplecie. Mimo jednak zdecydowanej większości przeciw głosowaniu za listą cywilną „nie chcąc dezawuować prezesa" — postanowiono brnąć dalej w lojalizmie w ślad za nim — przez solidarność.

Nawet organ opozycji *Kurjer Poznański* nie zdobywa się tu na silniejszy głos protestu i czyni tylko skromną uwagę: „Sądzimy, że kurtuazja większości szła za daleko". Nie dziwmy się; wszakże niedawno Koło polskie ogłosiło regulamin, wedle którego każdy poseł obowiązany jest na zewnątrz bronić polityki swych kolegów, choćby się na nią nie zgadzał i w obrębie zamkniętych posiedzeń Koła najostrzej ją zwalczał.

Zatym zatracenie swej indywidualności i wyparcie się swoich przekonań podniesiono tam do godności naczelnej i nienaruszalnej zasady, jako pierwsze przykazanie katechizmu obywatelskiego.

A oto drugi przykład: W żywej polemice, jaka się wywiązała z racji ostatniego skandalicznego głosowania Polaków, comme de raison — zabrał głos osławiony herold ugody — pan Turno, naturalnie w obronie stanowiska ks. Jażdżewskiego. Ponieważ zaś pisma zwalczające ugodę wyraziły obawę, że duch krańcowego lojalizmu może Polaków zaprowadzić „na zamek" — na uroczystość poświęcenia rezydencji królewskiej, pozwolił sobie skarcić je za tę przedwczesną krytykę, gdyż „jeszcze szczegóły poświęcenia zamku w obecności monarchy nie są dotąd znane". Pan Turno rezerwuje sobie prawo uczynienia niespodzianki ogółowi wraz z gronem swych kolegów polskich agrarjuszy, którzy już tę sprawę między sobą roztrząsali — a może rozstrzygnęli. Krępuje ich jeszcze niepewność, czy otrzymają zaproszenie; a stąd niedelikatne uwagi demokratów poczytują za niesforne i grubiańskie wikłanie drażliwej sytuacji. Ach! gdybyż aktorowie politycznej komedji mogli całą prasę zamienić w klakę przez nich płatną i od nich zależną. Wszakże i ks. Jażdżewski skarży się na redaktorów, utrudniających posłom spełnianie ich odpowiedzialnych obowiązków!

Ponieważ widocznie Związek Narodowy sam przez się jest niedostateczną rękojmią utrzymania partyjności w należytych karbach, a może nie rokuje dość pomyślnego rozkwitu, uczyniono jeszcze jeden wysi-

---

Lecz ona w milczeniu napełniła wodą nizki opalony imbryk i usadowiła go zręcznie na ogniu.

— Zaraz się herbata zagotuje — rzekła.

Trząchnęła rękami i wytarła je gorliwie pasiastym fartuchem, gdyż przy nalewaniu wody do imbryka, woda obryzgała jej czerwone ręce.

— Czy i zaparzać też panicz nie umie? — dodała po chwili przez pół zawstydzona, a przez drugie pół szydząca.

Chłopiec się uśmiechnął i potwierdził głową.

— Więc ja muszę zostać... — błysnęła dziewczyna dwoma promieniami zębów. — No to... w takim razie... Pudełko z herbatą pewnie stoi w szafce?

— Tak, z pewnością w szafce—odparł grzecznie Jerzy. — Ale nim się woda zagotuje... może mi panienka dopomoże wyjąć z kredensu serwetki, talerzyk, łyżeczkę...

Mówiąc to, wyrostek wszedł w oświetlony kurytarz, a za nim poszła dziewczyna.

W stołowym pokoju wskazał na rozrzuconą bibułę.

— Tort przynieśli zapóźno... więc rozpakowałem; stąd tyle papieru. Później uporządkujemy.

Ona się schyliła.

— Można zaraz... — rzekła.

— Nie, nie, później, później. Najpierw nakryjemy do kolacji.

Oparł się o krzesło.

— Żeby mi panienka ten tort pokrajała... — szepnął ujmująco.

— To wcale nie trudno...

— Ale najpierw, najpierw proszę mi powiedzieć imię.

— Jakie?

— Swoje.

— Moje?

— Swoje imię.

— Wanda.

— Mam siostrę cioteczną Wandę. Nazywam ją Lulu.

Jerzy się przybliżył do kredensu.

— Poszukajmy noża — rzekł swobodnie.

— Pewnie jest w szufladzie — zauważyła dziewczyna — Tylko czy kluczyki pani zostawiła.

— Przecież sterczą w zamku. Proszę spojrzeć, Lulu. Jerzy wysunął szufladę. U nas się kluczyki zostawia na wierzchu... Z myślą o złodziejach.

Służąca podeszła. Z pod jej czarnych rzęs padło figlarne spojrzenie.

— Żeby prędzej kradli? — spytała zalotnie.

— Żeby nie niszczyli mebli. Tak, panienko, po to. Noże są spewnością w tej szufladzie... w tamtej... niżej i na lewo. A serwetki obok.

Nie umiała znaleźć. On śledził jej ruchy i szepnął z wymówką:

łek. Mianowicie centralny Komitet wyborczy wykonał pewnego rodzaju zamach stanu i uznał sam siebie za najwyższą instancję kierowniczą, ustanawiającą w każdym wypadku „wytyczną dla całego społeczeństwa polskiego" w zaborze pruskim. Komitet centralny powołuje się na to, że wychodzi z wyborów powszechnych, co zresztą nie stanowi dostatecznego pełnomocnictwa, gdyż wybierany był nie w charakterze jakiegoś rządu narodowego, lecz do ściśle regulaminem określonych funkcji. Z tym samym prawem jakaś rada miejska mogłaby się mianować trybunałem najwyższym. Z drugiej strony dzięki temu że wyszedł z wyborów powszechnych komitet już dziś nie jest jednomyślny i zawiera dość wydatny procent opozycyjnych żywiołów, co się okazało przy zatwierdzeniu posła poznańskiej secesji. Stąd jego dyktatorskie zachcianki pozbawione są tej pewności siebie i rozmachu, jakie cechują innych miejscowych monopolistów politycznych.

Czytając jego komunikat pełen zastrzeżeń, niedomówień, zapowiedzi „liczenia się", „porozumiewania", „uwzględniania" to opozycji, to prasy, to kół poselskich widzimy w nim wyraźnie poroniony wytwór kompromisu. Większość narzuciła go mniejszości, a ta stępiła jego ostrze.

Poza tą jawną i zorganizowaną akcją toczy się jeszcze przeciw znienawidzonej opozycji gerylasówka walcząca bardzo starą i niewytworną bronią. Firmy zamieszczające ogłoszenia w opozycyjnych pismach otrzymują anonimowe zapowiedzi bojkotu, jeśli nie przestaną się tam ogłaszać. Pismo konserwatywne zupełnie jawnie i bezceremonialnie wskazują na ludzi przeciwnego obozu jako na inicjatorów sztrejku szkolnego. Pytanie, czy którakolwiek z bezpartyjnych „najwyższych instancji" zdobędzie się na potępienie tych wystąpień?

Wszystko to — zresztą — już było — i bojkoty, i denuncjacje i szumnie obwieszczane bezpartyjne a wyłącznie jedności i solidarności poświęcone organizacje. Któż dziś się pyta o stworzoną nie dalej niż pięć lat temu „Straż", którą bodaj czy nie obezwładnił bez ratunku jeden cyrkularz władzy duchownej nakazujący wszystkim księżom wycofanie się z niej? Któż z tego bijącego taranem w głowę doświadczenia wysnuwa należyte wnioski?

Wciąż na tle tych samych fikcji z tych samych skamieniałych głów tryskają te same rzekomo zbawcze źródła mądrości politycznej i zawsze tak samo wsiąkają w martwe piaski jałowej pustyni duchowej.

Trochę mniej lub trochę więcej zarządów, komitetów, prezesów i delegatów, trochę grubsze archiwa statutów i regulaminów — oto jedyny widomy rezultat tego ruchu wirującego niezmiennie w koło nieruchomej osi.

Na tle tej chronicznej kołowacizny każdy zorganizowany i świadomy siebie prąd opozycyjny — czy ruch ludowy, czy endecja, czy wypadkowa tych dwuch kierunków mogą spełniać zbawczą misję.

Gdzie się dwuch kłóci — tam trzeci wyrabia sobie zdanie, a gdzie wszyscy wciąż jedno powtarzają, ogół wkrótce przestaje rozumieć, co mówią i wcale nie spostrzega, kiedy zaczynają mówić od rzeczy.

I. Moszczeńska.

Listy z Galicji.

VIII.

Zajścia na uniwersytecie lwowskim. Polityka Koła polskiego. Ogólna sytuacja polityczna w państwie i kraju.

Czytelnicy *Prawdy* znają już szczegółowo przebieg smutnych zajść na uniwersytecie lwowskim, nie będę też ich opisywać, lecz zatrzymam się na nich dla uwydatnienia niektórych objawów życia politycznego Galicji.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Rusini przygotowali całą awanturę na uniwersytecie lwowskim; zaopatrzyli się w broń, przewidywali więc walkę na kije i strzelaninę. Swiadczą o tym wymownie rewolwery, znalezione w sali w której obradowali studenci rusińscy.

Wyniki śledztwa dowodzą też, że Rusini byli stroną zaczepiającą i że sami zaczęli strzelać. Polacy byli w mniejszości i nie mogli mieć zamiarów agresywnych. Młodzieży polskiej można tylko zrobić ten zarzut, że zbyt gorąco przyjęła do serca wiadomości o odbywającym się wiecu studentów rusińskich, że opanowała ją przesadna obawa o losy uniwersytetu,

---

— Widzę, że się chce panience spać.

— Już nie — odparła dźwięcznie — już się odechciewa.

Wyrostek udawał, że coś porządkuje na półce kredensu, potem się nachylił z wdziękiem —

— Będę do panienki mówił Lulu, dobrze?

Ona nie odpowiedziała. Wzięła za złożony obrus i jak gdyby zawahała się, co dalej robić.

— Niech panienka ciągnie! — podpowiedział Jerzy. — Nakryjemy stół. Na dwie osoby. Samemu markotno... Wypijemy herbatę...

— Ja już piłam — rzekła.

Spojrzał nieszczęśliwie

— Chciałbym z kimś pomówić... Co to Lulu szkodzi!? Proszę wyjąć serwetki, a ja tymczasem wyjmę małe talerzyki... dwa! o, proszę patrzeć: To panienki miejsce, a to moje — dobrze? — Wskazał, i popatrzył Wandzie w jej smoliste oczy.

A ona strofując, rzekła:

— I co z tego będzie?

— Nic, — odparł wesoło.

— Panicz dokazuje! — pogroziła palcem.

Przybliżył się do niej i jednocześnie sięgnął po szklaneczkę z winem.

— Proszę skosztować — poprosił uprzejmie.

— Wino?

— Tak.

— Nie lubię.

— Słodziutkie, jak cukier! Proszę nie odmawiać.

Podniosła na chłopca ogromne źrenice, w których się chybotał łobuzerski śmiech.

— A jak się upiję? — zapytała wdzięcznie.

— Ależ to jest woda! — zapewnił i podał.

Umaczała usta.

— Smakuje?

— Tak... słodkie.

— Teraz resztę... resztę.

Wypiła do reszty.

Wziął ją ostrożnie za rękę... ona rękę zgięła. Chłopiec nie nalegał.

— Chciałem powiedzieć... co chciałem powiedzieć? Ach, wiem! Żebyśmy stąd poszli.

— Poszli? — powtórzyła.

— Do pokoju ojca — wytłomaczył.

Rozszerzyła oczy, które spoważniały.

— Poco? — spytała zdziwiona.

— Ach, Lulu się boi! — wykrzyknął wyrostek.

Uciecha Jerzego udzieliła się natychmiast Wandzie. W tej chwili jak fala, zbiegło po żyłach ciepłem pieszczotliwym jedwabiste wino.

— Chodźmy! Chcę pokazać Lulu bardzo ładne rzeczy. Chodźmy, chodźmy, chodźmy! Wszędzie widno, jasno, nigdzie niema wilka...

(D. N.)

może niesłusznie posądzała studentów rusińskich o zamiar opanowania sal, w których mieści się zarząd wszechnicy i skutkiem tego niepotrzebnie wniosła na korytarzu barykady, które stały się sygnałem walki.

Wszystkie szczegóły walki nie są jeszcze znane, w gruncie rzeczy nie mają jednak dużego znaczenia. Awantura, jaką wywołali studenci rusińscy, zasługuje niewątpliwie na potępienie... Nic nie zaszło takiego na uniwersytecie, coby usprawiedliwiało to zbrojne wystąpienie. Jeżeli chodziło o zamanifestowanie gorącego pragnienia młodzieży rusińskiej posiadania własnego uniwersytetu — to można było to uczynić na samym wiecu bez bijatyki i rewolwerów; jeżeli zaś chodziło o przestraszenie Polaków, to walka wszczęta w uniwersytecie była środkiem zbyt słabym do tego celu. Można niekiedy wytłumaczyć ekscesy, jeżeli stanowią odpowiedź na jakiś gwałt, jeżeli skierowane są przeciwko sprawcom tego gwałtu. Bezplanowa jednak walka w uniwersytecie musiała z konieczności doprowadzić do nieoczekiwanych rezultatów. Jeden student rusiński Kocko został zabity przez samych zdaje się Rusinów, oczywiście wypadkiem, dwu innych odniosło lekkie rany.

Potępiając tę planowo urządzoną awanturę, potępić należy również brutalne zachowanie się polskich szumowin nacjonalistycznych. Tłum złożony z ludzi różnego wieku i stanu przeciągał po ulicach Lwowa i wybijał szyby w lokalach instytucji rusińskich. Zatakowano klasztor bazyljanek, kawiarnie rusińskie, lokal „Proświt” i sklepy rusińskie. Policja i wojsko położyły koniec tym ekscesom.

Prasa polska, która nie miała słów dość silnych dla napiętnowania brutalności studentów rusińskich, zachowała się biernie wobec wybryków zdziczałego nacjonalizmu swojskiego.

Rusini oddawna domagają się własnego uniwersytetu; w ostatnich czasach zdawało się, że nareszcie życzeniom ich stanie się zadość. Jednakże prowokacyjne zachowanie się p. Grabskiego i jego zwolenników, ich walka z namiestnikiem, marszałkiem, którzy chcieli zrobić pewne ustępstwa Rusinom, zaostrzyły sytuację.

Rusini chcieli pokazać, że założenie uniwersytetu rusińskiego jest sprawą pilną, że nie cierpi zwłoki. Dążność ta była zupełnie słuszna i uzasadniona, przybrała tylko niestety formę najgorszą.

Rusinom brak wytrawnych polityków. Najzdolniejszym z nich był poseł Oleśnicki, który jednak wycofał się z życia politycznego z powodu choroby; niektórzy twierdzą że z powodu, iż taktyka stosunkowo umiarkowana, której się trzymał, nie znajdowała zwolenników.

Prasa polska w Galicji nie stoi na wysokości swego zadania w sprawie rusińskiej. Obecnie, zamiast wniknąć głębiej w spór polsko-rusiński, zamieszcza tylko artykuły pełne nienawiści.

Gazeta Narodowa, organ najciemniejszych reakcjonistów szlacheckich z Galicji Wschodniej, dowodzi, że Rusinom niepotrzeba uniwersytetu, chociaż wie dobrze, iż w Austrji jest przeszło 1000 studentów tej narodowości. To samo pismo przed kilku dniami zamieściło wzmiankę o pani Siczyńskiej, matce zabójcy Andrzeja hr. Potockiego. Zarzuca jej brak delikatności, gdyż leczy się w Truskowcu w Galicji i widokiem swym rozdrażnia publiczność polską. Oryginalna pretensja!

Gdyby Koło polskie i wogóle Polacy w Austrji przed laty 6-ciu albo 7-miu poparli żądania Rusinów i przyłożyli się do utworzenia uniwersytetu rusińskiego w Kołomji, Stryju, albo Stanisławowie, uniknęliby wielu nieprzyjemności. Obok Lwowa, miasta do dziś dnia polskiego, (Rusinów we Lwowie jest niecałe 30,000 na 200,000) powstałby w innym mieście na dalszym wschodzie Galicji centr wyższego kulturalnego życia rusińskiego. Polacy ociągali się, zdawało im się, że Rusini nie są narodem, że ruch ich jest sztuczny i upadnie. Obecnie jest już zapóźno: Rusini chcą mieć uniwersytet we Lwowie i mieć go będą prędzej czy później za poparciem, albo wbrew woli Polaków.

Kiedy w roku zeszłym poseł Oleśnicki zaproponował w sejmie galicyjskim aby fundusze na cele kulturalne w Galicji dzielono między Polakami a Rusinami w stosunku 62 do 38, prasa polska zbyła tę propozycję milczeniem. A jednak warto było zastanowić się nad nią.

Polacy postępują w Galicji zawsze w ten sposób. Jest to lekkomyślność granicząca z obłędem.

Ze strony polskiej nie wyszły żadne propozycje ugodowe.

* * *

Koło polskie, wbrew przewidywaniom większości prasy, wytrwało na stanowisku w sprawie kanałów, obstając ściśle przy ustawie z 1901 r. Zdobyło się nawet na giest opozycyjny wobec rządu. Czy mimo to kanały będą przeprowadzone? Odpowiedzieć na to dziś niepodobna. W każdym razie postawa Koła polskiego ma tu doniosłe znaczenie, że w razie niedojścia do skutku budowy wszystkich kanałów—Galicja zdobędzie może kanał Dniestr-Wisła, albo inne poważne koncesje.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że polscy członkowie Izby Panów (a nawet i nie polscy) nie chcą zdawać sobie sprawy z tego faktu, że, z punktu widzenia prawa i porządku państwowego, zarzucenie budowy kanałów jest precedensem niebezpiecznym, prowadzącym do bezrządu i anarchji. Istotnie: niewykonywanie ustaw z lekkim sercem podkopuje byt parlamentu, który je uchwalił i powagę korony, która je zatwierdziła.

Hr. Piniński, który zawsze występuje w obronie niby powagi prawa, który zwalcza wszystkie demokratyczne reformy podkopujące stare instytucje i obyczaje — obecnie jakoś zamilkł, chociaż sprawa kanałów ma tak wielką doniosłość dla kraju naszego, znaczenie zasadnicze...

Oryginalny jest pogląd *Czasu*: wyraża on zdziwienie, że Koło polskie w sprawach kanałów stoi na stanowisku ekonomicznym a nie politycznym. Ma to znaczyć, że nie uwzględnia obecnego położenia państwa, któremu grozi wojna i które nie może ponosić wielkich wydatków na kanały. O wojnie słyszymy dużo oddawna, słyszymy i teraz. Zapewne wojna nie jest niemożliwością, jeżeli jednak Austrja uniknęła jej w czasie aneksji Bośni i Hercegowiny, tymbardziej uniknąć jej może i obecnie. Jeżeli Austrja przekonaną jest, że wojna być musi, że nic jej nie wstrzyma, to niechże do niej rzeczywiście przystąpi raz wreszcie; tymczasem zazwyczaj kończy się na szumnych przygotowaniach.

Wojna nie wydaje się prawdopodobna, gdyż Niemcy, a raczej Hohenzollerni do niej nie dopuszczą: obecny stan granic państwowych jest im na rękę.

Byłoby więc lekkomyślnością poświęcać realne interesy kraju dla widma mniemanej wojny...

Czy Koło polskie wytrwa na stanowisku w żądaniu kanałów? Przyszłość to pokaże. Uchwała jego obstająca przy żądaniu wykonania uchwały z 1901 r. zapadła jednogłośnie, dla zamanifestowania jego solidarności. Z pewnych jednak objawów wnosić wolno, że ta solidarność jest rezultatem nacisku opinji kraju, a nie dobrej woli członków Koła. Dowodzą tego zarówno i głosy prasy, jak i przemówienia poszczególnych posłów na posiedzeniu Koła.

* * *

Parlament został odroczony...

Żadnej ważniejszej sprawy nie załatwiono. Nastąpił zarówno w państwie jak i w kraju zastój polityczny. Zapanowała ciężka atmosfera.

Spór czesko-niemiecki, uniwersytet włoski, słowacki, rusiński, kanały, reforma podatkowa, ubezpieczenia socjalne — oto wielkie sprawy wymagające rozwiązania.

Wrogowie parlamentu ludowego dowodzą, że ujawnił swą bezsilność. Fakty przeczą temu. Parlament powszechnego głosowania nie mógł w ciągu lat kilku rozwikłać spraw dawnych. Z dotychczasowej jego jednak działalności widać, że jest o wiele pracowitszy od parlamentu kurjalnego i że socjaliści w Austrji są zwolennikami pozytywnej pracy reformatorskiej.

W każdym razie parlament ludowy ma tę wielką zaletę, że jest rzeczywiście wyrazem siły narodów, które wchodzą w skład Austrji, że je istotnie reprezentują.

Wielkie problematy czekające rozwiązania w Austrji wymagają wielkiego natężenia sił, dużych środków i szerokich widnokręgów umysłowych. Parlament ludowy nie przejdzie nad nimi do porządku dziennego. Sprawy te będą odroczone, ale nie zaprzepaszczone.

Ludwik Kulczycki.

NA DOBIE.

Dość frazesów!

Nasze konserwatywne mamuty, mimo pokaźnych żołądków, nie mogą jakoś przetrawić... Kruszynka. Legł im on kamieniem na wątrobie i od czasu do czasu niemile się przypomina. Ostatnio przypomniał się w *Słowie*; p. Donimirski odczuł boleśnie odezwę Polaków amerykańskich, którzy za pośrednictwem wolnomyślnego pisma *Ameryka-Echo* przesłali na rzecz krajowego szkolnictwa 823 rs. P. Donimirski opłakał jako narodową klęskę, tę niespodziewaną odsiecz z za oceanu, ten patryjotyczny i szlachetny odruch współczucia ze strony emigrantów-rodaków, którzy o wiele trafniej widzą narodową klęskę i *hańbę* w tępieniu uczelni polskich przez Apuchtinów swojskiego wyrobu...

P. Donimirski nic nie powiedział nowego. Sięgnął do arsenału klasycznych i wytartych od ciągłego użycia frazesów; jeśli podejmujemy je ze swej strony, to w tym celu, aby tem rychlej wycofać z obiegu. Pyta mianowicie p. Donimirski w końcu sążnistych wywodów:

> Zapewne! duchowieństwo trzyma lud przy Kościele katolickim i utrwala go w wierze, z którą „szeroka“ oświata „Amerikan-Echo“ i nasi bezwyznaniowcy nie chcą nic mieć wspólnego, pragnąc i lud nasz od niej oderwać. Czy jednakże mogą twierdzić, że wpływ duchowieństwa na lud nie jest dobry? Czy sami są w stanie dać ludowi coś, co jej zastąpi szczęście i spokój, jakie zapewnia religja? Czy dal wogóle ludzkości cokolwiek, coby jej zastąpiło religję? Czy obmyślili jaką organizację społeczną, w miejsce tej, którą dało chrześcijaństwo, a która jest podstawą cywilizacji współczesnej i całej naszej kultury?

Na ów szereg retorycznych zapytań odpowiadamy w tym samym porządku, acz w odmiennym od spodziewanego sensie.

A więc *tak*. Twierdzimy, że „wpływ duchowieństwa na lud nie jest dobry”. Skrzętnej pracy na gruncie doczesnym, trzeźwemu pojmowaniu pragmatycznego związku przyczyn i skutków, przezorności, zabiegliwej energji, a nadewszystko *oświacie* — staje wiecznie w poprzek deprymujący *rygor kościelny*, narkotyk niedorzecznej mistyki, wpieranej w chłopca, jako codzienna strawa i wpierany weń współrzędnie wstręt do ideałów doczesnych, świeckich, będących wszak właściwą normą życia społeczeństw współczesnych.

Tak jest; jesteśmy w stanie dać ludowi coś, co mu zastąpi ów półsen świadomości, owianej haszyszem oszukańczych praktyk, ową apatję gnuśnej hypnozy, w której wegetują biernie i niechlubnie wszystkie ultra-klerykalne zespoły starego świata — i z której otrząsają się kolejno. Tak jest — dajemy ludzkości coś, co jej zastąpi religję „księży”—„*Dajemy jej religję boską — dajemy jej sumienie*” — określił niedawno z drugiej półkuli głos wolnomyślnego Polaka. Dajemy jej szereg nowych zapowiedzi i reguł, których potęga jest taka, że chylą się przed nią nawet ci, co głoszą przeciw niej krucjatę na szpaltach *słowa* — *exemplo* sam p. Donimirski, rzecznik samopomocy, przezorności, współdziałania, kooperacji, co stanowi wszak jeden z rozdziałów wielkiej księgi Nowego Rodzaju, zwanej Solidaryzmem nowoczesnym, czyli istotą demokracji świeckiej...

Tak jest, nareszcie, obmyślamy „nową organizację społeczną”, nie na miejsce tej, którą „dało chrześcijaństwo”, bo ono żadnej organizacji własnej nie dało, ale na miejsce tych wszystkich odrażających ustrojów, do których chrześcijaństwo kolejno umiało się przystosować, elastycznie im ulegając — jakoto: ustrojowi rzymskiego imperjum, wspartego na niewoli, ustrojowi feodalnemu, wspartemu na ciemięztwie chłopów i mieszczan, ustrojowi absolutyzmu, wspartego na ciemięztwie wszystkich przez jednego, a wreszcie—dzisiejszym rządom imperjalizmu, militaryzmu, hakaty, stanów wyjątkowych i rugów zaborczych, uprawianych najgorliwiej przez władze apostolskie, arcykatolickie, pobożne i prawowierne, a najmniej — przez wolnomyślne, bezbożne demokracje! Oto, panie Donimirski, zwięzła nasza odpowiedź na kręte wywody; retoryczne pytania zawiodły; więcej ich pan nie stawiaj: dość frazesów!

„Arcykatolicki Król” w niełasce.

Dotąd nienawiścią czarnych bractw cieszyła się głównie Francja, pierwszy z krajów romańskich, który odzyskał samodzielność duchową. Papieskie brytany, i kundle, trzymane zdala od jej progów, głuszą świat zawziętem ujadaniem. Ogrom zwalonych na Francję oszczerstw przechodzi wszelkie pojęcie. Echa tej wytężonej kampanji zniesławień, którą Rzym umie prowadzić po mistrzowsku, z niezmiernym nakładem kosztów i talentu, odnajdujemy w każdem piśmie polskim, w przeciętnym zespole świeckiej opinji, która naogół bezkrytycznie i ślepo słucha księżych podszeptów. Od dziś fala złorzeczeń wzdęła się i nad Hiszpańją. Spieszmy stwierdzić odrazu, że *stokroć lepiej być zniesławionym przez teologów rzymskich, niż przez nich rządzonym*. Gniew kardynała Merry del Val—to najlepsza dla Hiszpanji rękojmia postępu i odrodzenia, to znak niechybny, że ten nieszczęsny kraj wszedł na właściwą drogę, że wylana w roku zeszłym krew niewinnych wzeszła bujnym plonem.

Hiszpańja otrząsa się z kolei. I ona dość ma klerykalnych rządów, które z narodu zdolnego, z kraju, o wyjątkowo szczęśliwych warunkach, uczyniły grozę i pośmiewisko świata. Postawiona w konieczność wyboru, Hiszpanja woli popaść w niełaskę u mnichów, niżeli zacisnąć na szyi samobójczy węzeł. Wiek XX ujrzy raz jeszcze zmartwychwstanie trupiego, zda się narodu pod tchnieniem Myśli Wolnej: widok, dający wiele do myślenia.

Jedna rzecz mogłaby spaczyć i zwichnąć zamierzone dzieło: niesnaski w obozie postępowym. Dotychczas jednak p. Canalejas, radykalny naczelnik rządu, ma za sobą zgodne poparcie całej lewicy postępowej, od liberałów do socjalistów. Po stronie gabinetu stanął nadto rezolutnie Król Alfons, na którego, jak się zdaje, wypadki listopadowe w r. z. wywarły wstrząsające wrażenie...

Zaś Król Alfons nosi nadany mu przez papieża tytuł „arcykatolickiego króla”. Zaiste mógł by papież

zawołać: *Et tu Brute contra me!* gdyby go nie był w tem wyręczył *Dziennik Powszechny.*

Ten świętobliwy organ zapewniał w zeszłym tygodniu, że „pojęcie Hiszpana równoznacznem jest z pojęciem Katolika", a królowie hiszpańscy nie zechcą rozstać się z „udzielonym im przez Papieża honorowym tytułem królów arcykatolickich".

— „*Inowierców w Hiszpanji tyle, co na lekarstwo* — ostrzegał króla Alfonsa organ Warszawskich kalchasów „naród już poczyna szemrać, już protestuje, albowiem nie chce zrywać z kościołem rzymskim..."

Strachy na Lachy: Watykan spuścił z tonu, widząc, że groźby nic nie pomogą, a Hiszpańję ogarnął istny szał uniesienia. Naród cały drgnął w radosnem przebudzeniu I widziano niezmierne tłumy manifestantów, obnoszących bandery wolnomyślne po ulicach Madrytu, Barcelony, Alicante, Bilbao, Oviedo, Sewilli, Cartageny. My, cośmy przeżyli rok 1905 ty, łatwo pojąć możemy naturę uczucia, które wezbraną rzeką zerwało tamy i precz wyniosło gnuśną apatję beznadziei...

Pojęła to ze swej strony i klerykalna opinja. „Arcykatolicki Król" odrazu popadł w niełaskę: maluczko, a pisać się o nim będzie, jakby był pospolitym Fallieres'em... *Znaleźli się też „inowiercy"*, których przedtem było „na lekarstwo": „Jak widać — wzdycha cytowany organ—klika masonów, *żydów* i *protestantów* coraz bardziej wzrasta na sile w Hiszpanji, tak że woli jej nie sprzeciwia się nawet młody monarcha", któremu, wobec tego, grozi zguba niechybna, tem bardziej, że *Dziennik Powszechny* trzyma w odwodzie gotowego już pretendenta w osobie ks. Jaime de Bourbon.

L. G.

Szlakiem gwiazd..

Głośna praca Andrzeja Niemojewskiego, skonfiskowana u nas na zasadzie denuncjacji kleru wyszła świeżo z druku w języku niemieckim p. t. „Gott Jesus", im Lichte fremder und eigener forschungen samt Darstellung der ewangelischen astralstoffe, astralscenen und Astralsysteme, w ramach znacznie rozszerzonych, nakładem monachijskiej firmy wydawniczej A. i K. Huber'a.

Zanim proces sądowy zakończy się — miejmy nadzieję — zdjęciem konfiskaty, czytelnicy nasi będą mogli zapoznać się z tą najciekawszą może pracą, jaka ukazała się w Europie w ostatnich czasach, sprowadzając ją z Niemiec. Cena za 2 tomy, obficie ilustrowane i wydane wytwornie, niezbyt wysoka, wynosi bowiem 16 marek.

Dzieło Niemojewskiego stosujące astralistykę (gwiaździarstwo) do badań nad Ewangielją stanowi ostatnie ogniwo w łańcuchu walk, jakie wiedza musiała staczać, aby zedrzeć z prawdziwego oblicza pojęć religijnych ludzkości — fałszywą maskę, urobioną przez bezimienne masy i przez wieki, przy czynnym i gorliwym udziale interesowanej kasty kapłańskiej.

H. J.

BADANIA NAUKOWE.

Wielki dramat wielkiego umysłu.

Zeznaję szczerze, że nadaremnie bym się silił podać ściśle i wszechstronnie od zarzutów obwarowane określenie, co to jest Wiara. Ów dar atawistyczny przeszłości, nie dającej się obliczyć nawet dziesiątkami tysiącoleci, przedstawia się, co do swej istoty, jako pewny sposób pojmowania świata i biegu spraw na nim; co do swego przedmiotu — jako zamknięty krąg wiadomości, poczytywanych przez ogół ludzi za jedynie prawdziwe; co do swego pochodzenia — jako najdawniejszy, pierwszy ślad pracy umysłowej człowieka nad spostrzeganymi zjawiskami w otaczającej go przyrodzie. Byłaby to więc wiara rodzajem nieuświadomionej jeszcze wiedzy.

Opierając się wyłącznie na podaniach, na znanym nam ogólnie: *tak mówi*, wynosi się wiara nad naukę, nie uznaje jej wyników, unika i odrzuca jej kontrolę. Umysł atoli ludzki, którego właściwością jest ciągła praca, nie może poprzestać na objawach początkowej jedynie swej działalności, zadowolnić się próbnymi jej rezultatami, coby zresztą było wyrzeczeniem się ostatecznym swych praw, czy też przywilejów. Pracując wciąż, wyzwalając się z pod suggestji tysiącoleci — uświadamia. Uświadomienie wytwarza wiedzę, już od wiary niezależną.

Droga od wiary prowadząca przez uświadomienie do wiedzy jest bardzo długa. Złożyły się na to warunki istnienia człowieka na ziemi techniczne i społeczne, to jest, dziejowe. Przebyć ją każdy musi osobiście. Przebycie jej nieraz całego życia jednostki wymaga. Częstokroć nawet przeciąg tego życia okazuje się za krótkim. Człowiek umiera zanim ją przebyć zdołał. Przytym droga ta pnie się zbyt stromo w górę, a pnąc się, rozmaite przechodzi stopnie.

Przechodzenie tych stopni odbywać się ma kolejno, bez przeskakiwania ich ze zbytniego pośpiechu, bez zatrzymywania się na każdym z nich, lub tylko którymkolwiek bądź, marudnego. Wyruszenie w drogę i osiągnięcie jej końca świadczy o sile umysłu odbywającej ją jednostki oraz o natężeniu samej pracy. Każdy stopień przebyty wytwarza odpowiedni przewrót w pojęciach przebywającego.

Innym jest człowiek wierzący, innym uświadamiający sobie jasno i dokładnie przedmiot swojego wierzenia na podstawie nauki. Właśnie ta różnica pomiędzy stanami krańcowymi wprowadza rozłam w życiu jednostki. Ów rozłam staje się dramatem, przybiera wszelkie jego znamiona. Choć dramat ten jest myślowy, odbywa się wewnątrz umysłu, wewnętrzny, nie mniej przeto bywa on silnym, głębokim, potężnym niż inne, zewnętrzne, wypływające z zetknięcia się charakterów, namiętności i interesów ludzkich, znane z piśmiennictwa powszechnego. Choć dramat ten daje się ująć głównie pojęciem, odtworzyć w procesie myślenia, niemniej wszelako niż tamten podledz może poznaniu, wywołać ciekawość, wzbudzić współczucie i grozę, przejąć swą treścią. Stopnie uświadamiania stanowią w nim akta zwrotne, jak w tamtych—wypadki zewnętrzne. Logiczny rozwój i zastosowanie odkrywanych lub poznawanych tylko prawd naukowych zastępuje w nim łańcuch koniecznego następstwa tych wypadków w kierunku rozwiązania dążących w tamtym.

Ów dramat, jeśli się odbędzie w umyśle kapłana, wyrwie go z jego sfery, przerwie łączność z bliższym i dalszym otoczeniem, pozbawi go możności sprawowania godziwego, wypływających ze stanu czynności zawodowych. Zatem ta sfera, to otoczenie pocznie taką jednostkę uważać za szkodliwą dla siebie, ścigać ją, prześladować, zniesławiać znieważać...

Wielkość dramatu zależną bywa od głębokości samego umysłu, od potęgi charakteru danej jednostki, w której się ów dramat rozwija Lękliwy umysł, trwożne usposobienie. słaby charakter nie wytrzymują rozłamu. Samobójstwo moralne lub nawet fizyczne bywa częstokroć wtedy epilogiem dramatu. Pospolitsze jednostki, pomimo akcji wynoszącej je nad tłumy, toną w falach przygód życiowych. Wielkie umysłem, silne charakterem, *justi ac tenaces propositi viri*, jak głosi poeta, dopiero po nastąpionym rozłamie żyć właściwie rozpoczynają.

Taką jednostką, która możność życia dla siebie odpowiedniego okupiła owym rozłamem, która z akcji dramatu, stawszy się jego bohaterem, wyszła silniejszą jeszcze umysłowo, niż była poprzednio, w doświadczanych zaś prześladowaniach wzmocniła swój charakter, jest bezspornie Alfred Loisy, autor licznych dzieł naukowych, tworzących we Francji nowy okres w dziedzinie badań nad źródłami i podstawą wiary.

Wyjątkowo piękna to postać, wspaniała osobistość!

Alfred Loisy zasługuje na bliższe poznanie, a to tymbardziej, że przedstawia typ u nas nieznany...[1])

1. Urodzony w 1857 r. tylko za specjalnym dozwoleniem papieża jako 22-letni młodzieniec otrzymuje (w 1879 r.) święcenia kapłańskie. Następnie, we dwa lata (1881) zostaje profesorem Instytutu Katolickiego w Paryżu. Ta okoliczność skierowała jego działalność przedewszystkim na nauczanie. Wyższość swego umysłu wnet tym wykazał, że zamiast powtarzać to, czego go inni nauczyli, samodzielnie wziął się sam do pracy. Powaga a zarazem głębokość tego umysłu uwydatniła się w wybranym przedmiocie do prucy. Mianowicie — zwrócił się bezpośrednio do źródeł Chrystjanizmu.

Ważniejsze w naszym cyklu dziejowym religje posiadają, każda odrębne swoje księgi święte, z których czerpią przedmiot swoich specjalnych wierzeń. Chrystjanizm ma też swoją, a nawet *dwie*. Powstawszy z Judaizmu, jako jego rozwój dziejowy na szerszym, niż pierwotne terytorjum, opiera się na Księdze Świętej tegoż Judaizmu, którą nazywa dla odróżnienia od tej, która go właściwie wytworzyła, Starym Testamentem. To jedna. Druga — jest to dziejowe usprawiedliwienie powstania Chrystjanizmu na tle Judaizmu. Zawiera ona to wszystko, co ma uzupełniać ów Judaizm i wytwarzać z niego nową religję. Nosi więc nazwę Nowego Testamentu. Każda z tych dwuch ksiąg powstawała odrębnie, od siebie niezależnie, w zupełnie różnych okolicznościach dziejowych i w innych też okresach czasu. Powstawała zaś przez wybór, to jest, przez utrzymanie jednych od rzucenia zaś innych utworów. Te wybrane poczęły nosić nazwę *Kanonicznych* i odrzucone — *apokryficznych* dzieł. Tylko tym pierwszym przyznano pochodzenie boskie, jako bezpośrednio przez Boga natchnionym, w których on sam objawia przez siebie wybranym swoje czyny, myśli i zamiary. Rezultatem pracy Loisy nad obu źródłami Chrystjanizmu były *Dzieje* powstawania tych źródeł jako Ksiąg Kanonicznych. [2])

Wydanie tych dzieł wyróżniało go wśród młodych kapłanów. To wyróżnienie wszelako przypłacił utratą katedry w Instytucie. W 1893 r. został przez władzę swą przeniesiony na prowincję w charakterze jałmużnika do klasztoru Dominikanów w Neuilly — sur — Seine. To go jednakże na drodze wybranej nie powstrzymało.

Praca atoli nad źródłami Chrystjanizmu nie chłonęła całkowicie jego umysłu. Zwracał też baczną uwagę i na współczesne sobie wystąpienia światlejszych działaczy wśród kapłanów katolickich. Pod pseudonimem Firmin wyjaśniał i rozpowszechniał w *Revue du Clergé français* (1898) myśli i poglądy sławnego kardynała angielskiego Newmana, którego nazywa największym, a może nawet jedynym teologiem katolickim w XIX wieku.

Co jednakże uchodziło w Anglji wielkiemu dostojnikowi Kościoła, nie mogło we Francji uchodzić skromnemu profesorowi Instytutu, zwłaszcza, że ów początkujący profesor w wydawanych przez siebie dziełach wykazywał już czym stać się może dla przyszłości w dalszym ciągu swych coraz to samodzielniejszych badań. W 1899 opuszcza Loisy swoje zajęcia kapłańskie (pour raison de santé, jak głosiły dzienniki) i przenosi się znowu do Paryża bez określonego wszakże stanowiska w hierarchji kościelnej.

Badania nad Starym Testamentem wtajemniczyły Loisy w przebieg dziejów Judaizmu. Jakoż w 1890 r. pomieszcza we wzmiankowanym *Revue* nową pracę *La Religion d'Jsraël*. Druk jej tam wszelako został wnet wstrzymany na rozkaz władzy duchownej. [3])

Trzeci ten już zatarg z tą władzą w pierwszym dziesięcioleciu kapłaństwa zamyka akt pierwszy dramatu życia Loisy.

II. Te zatargi, kończące się zakazami czynności nauczycielskich i naukowych mogły uchodzić w oczach innego za poważne przestrogi na przyszłość. Jego wszakże nie cofnęły z drogi, na którą był wszedł dobrowolnie, jakby z wewnętrznego powołania. W tymże roku rozpoczyna on nauczanie w Szkole wyższych Nauk przy Sorbonie (Ecole pratique des Hautes — Etudes). Z 1900 na 1901 wykłada: Mity babilońskie i pierwsze rozdziały Genezis. [4]) W następnym: Parabole w Ewangielji. [5]) Współcześnie z pierwszym rokiem jego nauczania w tej szkole, Niemiec Harnack, znakomity uczony i teolog protestancki, wyłożył był w Berlinie, w Uniwersytecie w szesnastu prelekcjach, *Istotę Chrystjanizmu*, a następnie wydał je w osobnym dziele. Samo z siebie wynika — że katolicyzm w tych wykładach bezpośrednio został dotkniętym. Teologowie katoliccy milczeli. Loisy „uczuł wstyd za Kościół z przyczyny tego poniżającego milczenia" i 1902 r. ogłosił dzieło pod tytułem: *L'Evangile et l'Eglise* (Quatrième edition, 1 v. XXXIV · 276, 1908) które mogłoby też nosić i inny, *L'Essence du Christianisme*, ponieważ w swej treści było krytyką dzieła Harnacka i odpowiedzią na nie z punktu widzenia rzeczy katolickiego. Lecz ten punkt widzenia okazał się raczej naukowym nie zaś katolickim, raczej indywidualnym Loisy, niż katolickiej Francji z jej duchowieństwem na czele. Równocześnie z nim wydał autor i inne, owoc rozpoczętych studjów nad Ewangieljami, p. t. *Le Quatrième Evangile* (1 vol. 900 pages, 1903.)

(d. n.) *I. Radliński.*

LITERATURA i SZTUKA.

„Qualis artifex pereo!"

Tak brzmieć powinien właściwy tytuł ostatniej powieści Henryka Sienkiewicza, przez autora nazwanej „Wirami [1])". Tylko samobójczy okrzyk może być jej charakteryzacją. Nie znam bowiem pisarza, który z takim uporem, a jednocześnie z taką pogodą w duszy, pracowałby dzisiaj nad skompromitowaniem swej własnej sławy literackiej, jak Sienkiewicz.

[1]) Oprócz dzieł samego Loisy materjału do tej pracy i źródła dla cytat dostarcza mi monografja A. Houtina: *La Question biblique au XX Siecle.*

[2]) Histoire du Canon de l'Ancien Testament, 1 v. pp. 260. 1890. Histoire du canon du Nouveau Testament, 1 v. pp. 305. 1891.

[3]) W przedmowie do wydania *drugiego* tego dzieła w 1908 r. czytamy: „Wydanie osobne w 300 egzemplarzach, wnet wyczerpane, nie weszło było do handlu księgarskiego".

[4]) Wykłady te wydane zostały w dziele p. t.: Les Mythes babyloniens et les premiers chapitres de la Genèse, 1 v. XIX+212, 1901.

[5]) Wykłady te weszły do dzieła p. t.: Etudes évangéliques, 1 v. XIV+314. 1902.

[1]) H. Sienkiewicz: *Wiry*, powieść tom I i II str. 294 + 305. Warszawa nakł. Gebethnera i Wolfa. 1910. Cena r. 3.

On: konserwatysta, który każdym utworem uczył nas szanować i uwielbiać przeszłość, sam — w stosunku do własnej przeszłości wykazuje dziwnie lekkomyślną wzgardę. On: lojalista, który moralność chciał oprzeć na ubóstwianiu powag i dogmatów, podkopuje dziś dogmat własnej powagi z nieopatrznością anarchisty lub wywrotowca. I wreszcie, on: klasyk-esteta, który sam kochał się i rozkochać potrafił naród w pomnikach Wielkości, jął nagle rozbijać własną swą wielkość i własny, za życia stawiany sobie, pomnik, jak dziki watażka z ordy Tuhaj-beja, albo Krzywonosa.

„Jak wielki ginie artysta!"

Oh! czemu Sienkiewicz tak wcześnie pogrzebał w swej duszy pamięć Petronjusza? Boski *arbiter elegantiarum*, gdyby żył, niezawodnie dzisiaj, przeczytawszy „Wiry" i potym wziąwszy kąpiel, rzekłby do ich twórcy:

— Przebaczam ci, iżeś mnie nie zrozumiał; iżeś tchnął we mnie duszę błyskotliwą a płytką, jak frazes dworaka, albowiem spotykałeś mię tylko na ucztach, w cyrku, w gronie augustjanów, ale nie byłeś nigdy w mej pracowni cichej i odległej, gdzie zamykałem się sam z myślami swymi, snując obrazy *Satyrykonu*. Przebaczam ci, iżeś naraził mnie na przykrość dysputowania z ludźmi, których — na Jowisza! — nie znałem wcale. I przebaczyłem ci także, iż wprowadziłeś mię, piórem swym, w rodzinę prostaków i barbarzyńców: Rochów Kowalskich, Maćków, Rzędzianów, Połanieckich i t. p. hultajstwa! Ale nigdy! — na srebrne kolana Charytek — nigdy nie zapomnę ci tego, że napisałeś „Wiry". Tego nie przebaczę nigdy! Odtąd rumienić się będę na myśl o najdalszym pokrewieństwie z tobą... Jakto! Czyżbyś nie dosłyszał, po przez najgłębsze tajniki swego sumienia autorskiego, przestróg moich, kiedy radziłem ci złożyć niepostrzeżenie miecz na *Polu Chwały*, które było (co tu ukrywać?) polem tryumfalnego uwiądu! Nieszczęsny, osierocony przez Sławę, Artysto! Koresponduj nadal z monarchami, ale nie tykaj w swych powieściach tematów rewolucyjnych! Odprawiaj pielgrzymki do Watykanu, ale złóż pióro! Śpiewaj co rano litanje i odmawiaj antyfony co wieczór, klnij postęp, bodaj nawet walcz z Marjawityzmem, ale zamknij księgę twórczości (o to zaklina cię Petronjusz!) bowiem odwróciła już od niej lica swe Atena, bogini Mądrości i zapłakał nad nią srebrnołuki Apollo, bóg poezji, która w Grecji wieńczyła czoło w liść niewiędnący akantu i zwała się — Nieśmiertelnością.

* * *

Imię Sienkiewicza płonęło świetnym niegdyś ogniem. Zasługi jego dla sztuki, dla literatury i bezpośrednio, rzec można, dla życia — były bardzo duże. Sienkiewicz impetem swego natchnienia i mocą wyobraźni ujarzmił obszary ludu i zmusił do czytania — tłum analfabetów. Lud uczył się na przygodach Kmicica i żartach Zagłoby — sylabizować.

Niedawno jeden z młodych krytyków naszych zestawił imię Sienkiewicza w równym rzędzie z imieniem Prusa i Orzeszkowej, poczytując Trójcę powyższą za wyraz umysłowości polskiej w dobie minionej: widząc w twórczości Orzeszkowej zasadniczy podkład *miłości*, a w dziełach Prusa wcielenie *nadziei*, nie wahał się z imieniem autora „Trylogji" połączyć symbolu *wiary*. Na taki, cokolwiek fantastyczny, podział cnót ewangielicznych po części przystać możemy niewątpliwie.

Sienkiewicz istotnie reprezentować mógł żywioł wiary, gdyż stanął on u kołyski rozwoju, kryjącej wszelkie zarody dalszych przeobrażeń; twórczością swą niewątpliwie budował most dla usiłowań i kierunków przyszłości: ale to zarazem powiedzieć trzeba, że sam on przyszłości owej nie dostrzegał, owych kierunków nie rozumiał; pisma jego nie zawierały nigdy żywego przedmiotu wiary, nie dawały oparcia dla idei, aczkolwiek stwarzały warunki dla przyszłych oddziaływań ideowych, dla nowego posiewu kultury.

Sienkiewicz ze swą książką, ze swą malowniczą i niefrasobliwą bajką dotarł tam, gdzie były na głucho zamknięte wrota dla Mickiewicza i dla Słowackiego, gdzie nie dolata dziś jeszcze najdalsze echo Wyspiańskich i Żeromskich. Sienkiewicz działalnością swoją odpowiedział niezbędnym, najniższym, elementarnym potrzebom duchowej prostoty i niemowlęctwa. Poruszył glebę od wieków i przez wieki nieoraną. Przeznaczeniem jego było rozpłynąć się w miljonach, więc poziom twórczości osunąć musiał bardzo nizko, aby sięgnąć aż do samego dna mielizny, aby nie przerastać warstwy umysłowo najuboższej, która u nas stanowi przecież warstwę najliczniejszą.

Stał się on rozkoszą tej kategorji umysłów. dla których już gra zewnętrzna malowideł bywa efektem ponętnym, zazębienia intrygi stają się czymś, od czego w piersi dech zamiera, sam zaś fakt, że wyrazy układają się w zdania, a sceny powstają ze zdań rodzi entuzjazm, od którego, jak zwierzył się kiedyś Rabski „dusza rośnie".

Niechaj więc nikt nie posądza nas o to, że umniejszyć chcemy znaczenie kulturalne pism Sienkiewicza, lub pamięć jego zgasić we wdzięcznym sercu rodaków. Przeciwnie! siłę znaczenia jego chętnie przyrównalibyśmy do siły żywiołowej, która podmuchem swym porusza senne morze fal, lub senne morze głów.

Lud nasz, ociemniały w niedoli, uśpiony przez suggestję stuleci, kiedy nareszcie, pod naciskiem naglących potrzeb dnia dzisiejszego, ocknął się próbując działać i myśleć, począł działać i myśleć, jak człowiek pierwotny, obarczony gniotącą tradycją dawności. Myśl jego obracała się w świecie mitologji, w dziedzinie baśni, legiend i przesądu. I gdy na arenę piśmiennictwa wystąpił Sienkiewicz; urodzony bajarz, niezrównany fabulista, wspaniały iluminator przeszłości, czarodziej barwy, giestu i słowa, działający na oko, ucho i nerwy mięśniowe, a nie trudzący mózgu, nazbyt jeszcze w masach wątłego, — odrazu nawiązała się nić sympatji i serdecznego odczucia między nim a tłumem. Sienkiewicz w najdoskonalszych utworach swych pozostał wierny powołaniu: pozostał fascynatorem natur pierwotnych, posiadających dowcipu więcej w garści, niźli w głowie, pozostał artystą gminu.

Lud polski, razem z Sienkiewiczem i pod jego znakiem, przejść musi przez okres mitologiczny czy teologiczny, aby pójść dalej, — już samodzielnie, — w świetle własnej, nieubłaganej prawdy.

Kult Sienkiewicza znamionuje w nowoczesnej umysłowości polskiej stadjum niższe, podrzędne i przygotowawcze, ale stanowi bezwarunkowo wartość dodatnią. Jeżeli chcemy pociąg sprowadzić z toru, po którym biegnie, na tor inny, musimy na chwilę przystosować się do jego aktualnego kierunku: zali nie podobna również zasada obowiązuje przy przesuwaniu psychiki zbiorowej na nowe, odmienne tory życia? Ażeby wyzwolić się z atmosfery ułud i przesądu, trzeba zrazu w tę atmosferę wejść i nią owładnąć, albowiem tylko pod takim warunkiem, można ją w następstwie przezwyciężyć. I tu prawdopodobnie, pod powyższym kątem widzenia, spocznie z czasem, przed obliczem dziejów kultury rzetelna zasługa Sienkiewicza.

Wiem, że ten mój pogląd różni się od powszechnie przyjętych zapatrywań na stanowisko Sienkiewicza. Ogół, za popędem wrażenia pierwszego idąc, dostrzega w epopei Sienkiewicza końcowe ogniwo ideologji szlacheckiej. Teoretycznie biorąc, jest to, być może, sąd słuszny. Wszakże, w praktyce rzeczywistości, historja nie zna ani chwili zastoju, nie zna przerwy w falach swego ruchu. Ktokolwiek stoi na rubieży jednej epoki, stoi tym samym u proga nowej.

Sienkiewicz, wyszedłszy ze środowiska szlacheckiego, trafił w szerokiej mierze — do mas ludowych. Wyrósłszy ze starej epoki, sięga wierzchołkami myśli, koroną głuchych przeczuć w epokę nową.

Zali dziś złorzeczyć mamy tym jego wpływom na szerokie masy? czyliż będziemy wyklinać go, jako demoralizatora, który na świeżym pniu miąższa ludowego szczepi zarazę szlachetczyzny? — Tak formułowano kwestję w obozie „młodych" przed 6 laty, gdy zawrzała na łamach *Głosu* słynna kampanja przeciw autorowi „Połanieckich". Sądzę, że dziś należy formułę tę odrzucić; powinniśmy natomiast zająć wobec Sienkiewicza stanowisko, jako wobec człowieka, który w znacznym stopniu już rolę swą odegrał. Dziś wiemy, że lud brał odeń polskie abecadło, uczył się ponęt ojczystego języka, chłonął po przez niego piękno przyrody polskiej, zapalał się wartością i pędem jego wzruszeń, ale, jednocześnie, dojrzewając umysłowo, odrzucał mitologiczną i legiendarną łuskę zdarzeń nieprawdziwych, wniosków błędnych lub mylnych uogólnień: odrzucał okrutny heroizm Jaremy i „cudowną" obronę Częstochowy.

Sienkiewicz tedy utrwalił stanowisko swe w historji i w piśmiennictwie z dostateczną mocą, aby miał obawiać się krytyk, lub krytyków najsurowszych. Inna rzecz, czy nie miałby on aż nadto słusznych powodów ku temu, aby od pewnego czasu zacząć najpoważniej w świecie lękać się — samego siebie.

Sienkiewicz ukołysany przez zachwyty wiernych, obcięty od źródeł zdrowej oceny, roztrojony przez bezmyślność swego otoczenia, stał się igraszką bezwolną najkapryśniejszych pomysłów. W „Wirach", rzekłbyś, stawił on sobie za jedyny cel doprowadzenie do absurdu wszystkich swoich dawnych środków i sposobów tworzenia. Czytelnik błądzi pośród „sytuacji" i pośród „bohaterów" tej powieści, jak śród ruin zamczyska, które znał niegdyś, za dni jego chwały, gwarne odgłosami życia i potęgi. Co chwila czytelnik jakoby okiem sposępniałym potrąca o szczęty dawnej świetności; spotyka odłamki posągów, rzędy mumji, łachmany szat, strzępy obrazów, Sienkiewicz rozwinął i wykształcił zasoby swej fantazji tudzież swój polot twórczy w atmosferze „Dzikich Pól"; tam zbierał barwy na swą paletę, z której miały trysnąć rozhukane wizje wojen, grabieży, buntów, pożarów, mordu i upojenia odwagą lub szaleństwem. Te krwawe barwy, tylko przygaszone szarzyzną i te same zbrojne echa, cały ów rozbójniczy aparat z Ukrainy XVII st. transportuje Sienkiewicz niemal bez zmiany na tło dni pamiętnych 1905 — 1907 r. i chce weń wtłoczyć — cały ruch rewolucyjny.

Cóż dziwnego, że dwór Jastrzębski, w którym rozwija się akcja „Wirów" w miniaturze przypomina Łubnie, a niewiadomo czemu osaczający go „socjaliści" upodabniają się w sposób łudzący do hord zbuntowanego kozactwa! Panna Anney, cwałująca przez las opanowany przez tych że „socjalistów" naprzemian uśmiecha się, po nad głowami trzech stuleci, do Basi, uciekającej z rąk Tatarzyna Azji, to znów do Kurcewiczówny, wymykającej się ze Smoczego Jaru. Cóż dziwnego wreszcie, że „socjalista" Laskowicz, w braku stosowniejszej garderoby, przywdział garbowaną skórę Imć Bohuna i, jak niegdyś tamten marzył o kniaziównie, tak ten dzisiaj złowrogo marzy o „burżujce". Bohun, jak wiadomo, zbuntował kozaczyznę, aby rozgromiwszy szlachtę i Rzeczpospolitę, na gruzach dymiącej krwią ojczyzny posiąść oporną dziewczynę. Nie inaczej działa przedstawiciel Polskiej Partji Socjalistycznej w „Wirach". Postanowił on rozkołysać morze proletarjatu poczuciem swoich krzywd, w nadziei, iż wzburzone fale rzucą w jego dziko rozwarte ramiomiona „omdlałą pannę Marynię". Myśląc zapewne o tej ciągłości metod historycznych, Grońskí, inny bohater „Wirów" czyni uwagę, że „socjalizm należycie pojęty" nie jest bynajmniej wynalazkiem XIX w. Socjalizm właściwy (t. j. w stylu Bohuna i Laskowicza) datuje się od czasów niezmiernie dawnych: sięga on epoki Menenjusza Agryppy, i jeszcze głębiej, wiąże się prawdopodobnie z faktem porwania Sabinek.

Widzimy tedy u Sienkiewicza w „Wirach" całkiem nowe rozstrzygnięcie kwestji socjalnej. Pogromiwszy Krzyżaków w *Tygodniku Illustrowanym* Szwedów w *Gazecie Polskiej*, a Turków i Tatarów w *Słowie*, postanowił z nieprzyjacielem wewnętrznym rozprawić się w odcinku *Gazety Warszawskiej*: dłonią Ursusa chwycił za miecz Podbipięty i... zapędy rewolucyjne socjalizmu zredukował — do podrażnień płciowych, jakie w sercu robotniczym wywoływać może jasna panienka ze dwora!...

...Sądzę, że czytelnicy zwolnią mnie od obowiązku polomizowania z tak... erotycznym pojmowaniem sprawy robotniczej...

Myliłby się jednakże ten, ktoby myślał, że Sienkiewicz stworzył „karykaturę rewolucji". Aby coś skarykaturować lub wyszydzić, trzeba mieć o tym przybliżone chociażby pojęcie. Autor w „Wirach" dał niewątpliwie karykaturę, ale tylko własnego talentu; napisał pamflet, ale tylko na własną sławę.

Sienkiewicz na kartach „Wirów" wydał na siebie wyrok bezlitosny: świadomie i dobrowolnie skazał się, jako artysta, na śmierć — przez ośmieszenie.

W. Rzymowski.

Ku uczczeniu rocznicy Grunwaldu.

(**Hołd Grunwaldowi**. Album pamiątkowe, zebrane staraniem „Straży polskiej". Kraków, 1910).

Zbliżająca się pięćsetletnia rocznica tryumfów polskiego oręża pod Grunwaldem wywołuje całą lawinę wydawnictw, począwszy od pocztówek i oleodruków aż do poważnych dzieł, poświęconych odtworzeniu niezapomnianej dla naszego narodu chwili zwycięztwa. Biorąc nawet pod uwagę dzisiajszy popęd do aktualności, chęć wyzyskania nastroju i pobudzenia tegoż, nie można się oprzeć wrażeniu, że dziwnie blizką sercu Polaków jest chwała przodków. Uczucie narodowe gnębione nawałem nieszczęść współczesnych, upokarzane odczuciem obecnej niemocy, tęskni do skąpania się w blaskach bodaj odległej ale własnej, istotnej, zdobytej przez hart ducha, odwagę i nieustraszoność chwały. Jesteśmy paryasem Europy. Na polach Grunwaldu zaś zapisał się fakt, świadczący, że zdolni byliśmy tej Europie dyktować prawa. Jęczymy w trojakiej niewoli, ale był wielki moment, w którym starliśmy w proch wojska krzyżackie, złożone z kwiatu rycerstwa środkowo-europejskiego, gdyż jak opowiada Korzon, Krzyżacy, posiadający ogromne bogactwa, potrafili na swoją stronę przeciągnąć wszystkich sąsiadów Polski i zdobyć ochotników aż po Ren i Szwajcarję. Poznanie chwil wielkości i tryumfów narodu mimowoli nasuwa refleksje, czemu minęły one tak prędko i na jaką wejść należy drogę, aby przynajmniej zalety i właściwości dawne uzyskać, jak odrodzić plemię bohaterów?

Szukanie tej drogi, dopatrywanie poza szlakiem politycznych kombinacji wskazówek odrodzenia wewnętrznego na przyszłość — oto główny motyw powszechnego zainteresowania się rocznicą Grunwaldu.

Wśród wydawnictw, dążących do wszechstronnego zainteresowania szerokiej publiczności rocznicą Grunwaldu wyróżnia się wyjątkowym doborem treści i pięknym wydaniem „Alum", opracowane przez Kazimierza Bartoszewicza, prezesa Straży polskiej. Wytrawny pisarz i biegły historyk, jakim jest K. Bartoszewicz odwołuje się do źródeł pierwszorzędnych

i przemawiać pozwala piórom fachowym, ażeby możliwie wierny obraz stanu dzisiajszych badań o Grunwaldzie czytelnikom przedsiawić. Nie obniża to bynajmniej znaczenia wydawnictwa, że przedrukowano opis bitwy z dzieła K. Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło", ponieważ dopełnia je „ustęp z dziejów wojennych Polski", w którym Korzon daje obraz działań wojennych z punktu widzenia strategicznego i obliczenie wojsk obu stron walczących. Antoni Prochazka przedstawia dzisiajszy stan badań nad osobą Jagiełły i Witolda, a rezultaty i owoce grunwaldzkiego zwycięztwa charakteryzuje K. Bartoszewicz.

Wymowniej jeszcze od tych ściśle zresztą naukowych opracowań przemawia szereg dokumentów dawnych. A zatym podano tu Grunwald w poezji, poczynając od łacińskiego wiersza a kończąc ustępami z dramatu Słowackiego „Zawisza Czarny". Album obejmuje również i charakterystykę postaci Jadwigi, której historjografja dzisiejsza przypisuje rolę moralnej sprawczyni wszystkich dzieł wielkich za panowania Władysława Jagiełły.

Niewątpliwie niejeden z nas postępowców uśmiechnie się ironicznie przeczytawszy wezwanie ks. bisk. Bandurskiego do zbierania podpisów w celu przedstawienia papieżowi królowej Jadwigi do kanonizacji. Ha, każdy na swój sposób wielkich ludzi czcić pragnie, a wezwanie brzmi akcentem szczerego dla wielkiej Polski pietyzmu.

Album zdobią liczne i bardzo starannie dobrane i wykonane ryciny, kopje portretów, plany bitwy, widoki i t. p. z których niejedna po raz pierwszy została reprodukowaną i bardzo gustowne ozdoby drukarskie.

Mimo woli nasuwa się tu porównanie omawianego wydawnictwa z wydanym w Poznaniu Album jubileuszowym „Grunwald", które ułożył Jastaw z Bratkowa. Zarówno pod względem tekstu jak i strony wydawniczej stoi ono bez porównania mniej od krakowskiego, które począwszy od okładki jest wydawnictwem wysoce wytwornym.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Wychodzi w naszym mieście tygodniowy *Przegląd Katolicki*, bardzo pracowicie i starannie redagowany przez ks. prałata J. Gnatowskiego, Ksiądz — redaktor śledził uważnie przebieg zatargu między obozem *Prawdy* i obozem *Trybuny*, przyczym trudno mu było ukryć sympatję do ultra-fjoletów *Trybuny* i antypatję do czerwieni *Prawdy*. W numerze 24 swego pisma podnosi ks. Gnatowski z uznaniem pogląd *Trybuny* na „jałowe zjadanie Pana Boga".

Natomiast w numerze 26 („Z zatargów szkolnych") żżyma się gniewnie na nasze pismo za polemikę z *Dziennikiem Powszechnym*, przyczym — dodaje ks. Gnatowski — *Prawda* zdobywa się na ton „przypominający jej wystąpienia z czasów walk pozytywistycznych". Miła to dla nas nagana, tym przyjemniejsza, że wyszła z ust miarodajnych.

W N-rze znów 27-ym widnieje *in extenso* niemal przytoczony i w pochlebne ujęty komentarze artykuł p. Warskiego z *Trybuny* (Nr. 10), który z niebywałą pasją napada nietylko na dzisiejszych polskich postępowców, ale i na zeszłe pokolenie pozytywistów warszawskich.

Przegląd Katolicki darzy *Trybunę* dyskretnym aplauzem; gdyby się nie bał zdradzić ze swą i intymną nadzieją — krzyknąłby głośno:

— Brawo! Takich nam trzeba, tacy oby się na kamieniu rodzili! Zaprawdę, gdyby nie było *Trybuny*, należałoby ją — wynaleźć...

* Rad z niespodziewanego z tej strony sukursu, ks. Gnatowski i sam nie zasypia gruszek w popiele. W N-rze 24 *Przeglądu Katolickiego* („Przegląd spraw kościelnych") czytamy następujące *curiosum*:

> Niektóre pisma doniosły, że Kardynał Sekretarz Stanu miał uprzedzić rządy w Lizbonie i w Madrycie o przygotowywanych przeciw nim międzynarodowych spiskach anarchistycznych, o których przypadkowo pewną powziął wiadomość.
>
> Nie wiemy, o ile ta wiadomość jest wiarogodną: wiemy natomiast z wszelką pewnością, że coś znów kotłuje się przeciw obu dynastjom.
>
> 17 maja paryska *Action*, jeden z głównych organów loży, doniosła o przybyciu do Paryża przywódcy masonerji portugalskiej, p. Magelhaes Lima, i wielkimi literami ogłosiła następującą wiadomość:
>
> „Ku portugalskiej republice: p. Magelhaes Lima komunikuje nam, że przygotowują się nader ważne wypadki".
>
> Bezpośrednio po tym komunikacie nastąpił nieudany zamach, nie na króla Manuela wprawdzie, ale na króla Alfonsa. Byłżeż on w związku z pobytem wodza masońskiego w Paryżu?
>
> W odpowiedzi na to pytanie, katolicka prasa francuska stwierdza, że w przededniu strasznego mordu króla Carlosa i jego starszego syna, p. Magelhaes Lima przybył również do Paryża gdzie ma siedzibę centralną wielka masońska Liga międzynarodowa dla utworzenia republiki ludów łacińskich i że wnet po jego przybyciu główny organ masoński w Paryżu zakończył namiętny artykuł przeciw rządowi portugalskiemu znamiennymi słowami:
>
> „— Niech król Carlos strzeże się: w najbliższym czasie zostanie wypędzony lub zabity!"
>
> Prasa przypomina dalej, że takie same wrzenie kół masońskich, jakie towarzyszyło bytności p. Magelhaes Lima w styczniu 1908 r., powtórzyło się w lecie 1909 przy ponownym jego przybyciu do Paryża, i że bezpośrednim następstwem tej drugiej wizyty były rozruchy i rzezie w Barcelonie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i królobójstwo na *Plaza do Commercio*, i rewolucja w Barcelonie zorganizowane zostały w Paryżu i stamtąd otrzymywały swą komendę. A wobec tego trudno patrzeć bez poważnej obawy na nową gościnę złowrogiego dygnitarza lóż w Paryżu, trudno nie wiązać tej gościny z nową próbą królobójstwa w Madrycie i nie oczekiwać dalszych krwawszych może i straszniejszych jej następstw.

Pojmujemy dobrze, że wobec rosnącej w Polsce popularności haseł wolnomyślnych, ks. prałat zechciał nieznacznie Myśl Wolną... zdyskredytować, pomawiając pokrewne jej żywioły o udział w spiskach anarchistycznych i królobójstwie. Masonerji w Polsce dzisiejszej niema (że była kiedyś — któż o tym pamięta!) ale snadź ks. Gnatowski hołduje przezornej profilaktyce, która chorobę uprzedza zawczasu i w zarodku tłumi.

O jednym tylko ks. prałat zapomniał, co w niwecz obraca jego skrzętne zabiegi: oto na czele Masonerji na Zachodzie stoją częstokroć *ukoronowane głowy*; *exemplo* — nieboszczyk król Edward, urzędownie „protektorem Lóż angielskich" zwany, podczas gdy brat jego ks. Connaught, pełni dotąd rolę „Wielkiego Mistrza". A wobec tego, że angielska rodzina królewska jest spokrewniona z domami panującymi na półw. Iberyjskim — upada niedorzeczny domysł, jakoby inicjatywa spisków i zamachów wychodziła z kół wolnomularskich.

Roztargniony ks. Gnatowski rzucił niegodne podejrzenie na angielską rodzinę monarszą, pomawiając ją o kontakt z anarchistami.

Ostrzegamy ks. Gnatowskiego przed tym niepojętym... roztargnieniem w stosunku do osób, co do których kolega jego z Poznania, ks. Jażdżewski, dał pamiętny przykład kurtuazji.

* W ostatnim, lipcowym zeszycie miesięcznika „*Kultura Polska*" znajdujemy szereg bolesnych refleksji na temat Koronacji Jasno-Górskiej:

W Częstochowie odbyło się nałożenie na obraz M. Boskiej korony, przysłanej przez papieża wzamian za skradzioną. Na tę uroczystość miało przybyć około pół miljona na pobożnych. Jedno z pism obliczyło, że jeżeli każdy z pątników wydał tylko 10 rb., kosztowała ona ogółem około 5 miljonów rubli. W tej uwadze dostrzegam niesłuszną ironję. Bo naprzód stać nas na taki wydatek. W naszym budżecie społecznym wszystkie potrzeby mogą mieć wątpliwe pokrycie, ale rozchody dewocyjne są zupełnie zabezpieczone. Może nam zbraknąć na jadło, odzież, oświatę, instytucje pożytku ogólnego, drogi, mosty i t. d., ale na msze, śluby, pogrzeby, pielgrzymki odpustowe posiadamy źródła pewne i obfite. Zwłaszcza śród ludu wiejskiego ostatni nędzarz, który ucisza głód chudymi kartoflami i chodzi w łachmanach, ma oszczędzone grosze „na pochowek". Wszystkie stany, klasy, stanowiska, urzędy mogą tracić dochody, księża — nigdy. Powtóre, zgromadzone w cudownym miejscu tłumy miały o co prosić i za co dziękować. Prosić przedewszystkiem o to, ażeby Bóg zesłał mór, zarazę, wszystkie plagi i nieszczęścia na Kruszynek, Gołotczyznę i Sokołówek za to, że źli ludzie poważyli się tam uczyć dziewczęta i chłopców wiejskich: uprawy ziemi w ogrodzie i w polu, hodowli bydła, koni, trzody chlewnej i drobiu, plecenia koszyków, szycia bielizny, tkania płótna i t. d. Dalej błagać o to, ażeby wszystkie zakłady naukowe polskie, w których księża nie mają paragwajsko-jezuickiej władzy, zostały zamknięte lub upadły z braku uczniów. (W duchu tej modlitwy, zwierzchność kościelna, która nie odmawia prefektów szkołom rosyjskim, odmówiła go szkole Tow. Kult. Pol.). Wreszcie dziękować za to, że lud nasz znajduje się w stanie najwyższej łaski pod opieką swych pasterzów duchownych, którą osiągnął w nieznanym nigdzie stopniu. Mianowicie, według obliczeń poważnego badacza stosunków oświatowych, p. Falborka, ogłoszonych przez *Dziennik Petersburski*; przeciętny procent dzieci, uczęszczających do szkół początkowych Królestwa Polskiego, wynosił aż 13 proc., czyli że kraj nasz zajmuje w państwie pod tym względem trzecie miejsce od końca i stoi wyżej tylko od Turkiestanu. Wobec tak wspaniałego obrazu naszej kultury zupełnie naturalne i zrozumiałe jest to że na jedną uroczystość odpustową wydajemy 5 miljonów rubli i że książa wszelkimi sposobami nie dopuszczają kształcenia ludu.

KRONIKA.

DWA ZGONY. W Lubieniu, w Galicji d. 7 lipca zmarł znany rzeźbiarz polski, Antoni Popiel, laureat pomnika Kościuszkowskiego w Waszyngtonie, przeżywszy lat 45.

Równocześnie w Warszawie zmarł wielce utalentowany artysta-rzeźbiarz, Ludwik Pyrowicz. Przez całe życie swoje walczył z niedostatkiem. Przeżył lat 51.

WIEC LWOWSKIEJ POLSKIEJ AKADEMICKIEJ MŁODZIEŻY POSTĘPOWEJ. Polska młodzież postępowa, zebrana na wiecu dn. 9 lipca 1910 r. uchwaliła następujące rezolucje:

1) ubolewania i potępienia godne zajścia, które miały miejsce na uniwersytecie lwowskim, a które doprowadziły do krwi rozlewu, uważamy za objaw rozwielmożnionego po obu stronach szowinizmu narodowego, prowadzącego do stosowania taktyki pałki, ciupagi i browninga w walce o potrzeby kulturalne i do rozwydrzenia tłumu ulicznego, podnieconego plemienną nienawiścią;

2) uważamy, że przedwczesnym jest obecnie ocenienie zajść, których wyniki są tak smutne i tragiczne i zastrzegamy sobie głos w tej sprawie;

3) wyrażamy przekonanie, że zajścia te są wynikiem metody odwlekania stale stosowanej przez rząd centralny w sprawie utworzenia uniwersytetu we Lwowie dla Rusinów, oraz niezmiernie wrogiego stanowiska; zajmowanego wobec nich przez Koło polskie w parlamencie wiedeńskim.

Z BIURA TOWARZYSTWA OPIEKI NAD WYCHODŹCAMI OTRZYMUJEMY NASTĘPUJĄCY KOMUNIKAT: Jedną z najważniejszych rzeczy dla naszych wychodźców zamorskich jest odpowiedni stan zdrowia, zgodny z surowymi przepisami amerykańskich praw przychodźczych (immigracyjnych), stosowanych zarówno w portach Stanow Zjednoczonych Ameryki Północnej jak i Kanady, jakkolwiek w tej drugiej nieco łagodnej. Kandydat na wychodźcę może posiadać środki materjalne, pasport i wszystkie inne niezbędne do dalekiej podróży warunki, a jednakże brak zdrowia nie pozwoli mu lądować w Nowym Jorku czy w jakimkolwiek innym porcie północno-amerykańskim.

Częstokroć się dzieje, że pragnący wyemigrować do Ameryki zwija gospodarstwo i wysprzedaje się doszczętnie, a dopiero potym dowiaduje się, że go nie puszczą, bo jakaś choroba, czy kalectwo, czy wreszcie ogólny zły stan zdrowia i brak sił do pracy stanowią przeszkodę do wylądowania. To też Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami uważa sobie za obowiązek przestrzec przed lekkomyślnym załatwieniem tak ważnej sprawy i radzi każdemu, kto ma zamiar emigrowania do Ameryki, aby naprzód poddał się oględzinom lekarskim, a potym dopiero dowiedziawszy się, że jest zdrów i że jechać może, może gotować sie do podróży.

W tym celu Towarzystwo zawarło umowę z dr. Ludwikiem Czyżewskim, który wszystkich udających się po pomoc i wskazówki do naszego Towarzystwa bada i o stanie ich opinję wydaje.

Również nie powinien udawać się w drogę nikt, kto nie posiada odpowiedniej kwoty pieniężnej na pokrycie kosztów podróży. Pod tym względem panują rozmaite przekonania, na błędnych obliczeniach oparte. Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami udziela wszelkich rad i wskazówek, ale nikomu nie daje zapomogi pieniężnej, nikogo swoim kosztem w drogę nie wyprawia, a nawet i części kosztów podróży nie pokrywa. Wobec tego każdy wiedzieć powinien, że aby z Warszawy dostać się tylko do Nowego Jorku potrzeba mieć od 150 — 170 rubli, zależnie od drogi, w co wlicza się już 50 rubli, potrzebnych dla pokazania w porcie nowojorskim i koszt utrzymania przed dostaniem się na okręt, nie wlicza się atoli kosztu pasportu, który każdemu jest znany. Tutaj nadmienić jedynie należy, że pasport dla jadących przez Libawę wynosi tylko rb. 17 kop. 75 i że go można wyrobić na miejscu w Libawie przedstawiając zwyczajne legitymacje dla otrzymania pasportu zagranicznego wymagane.

Towarzystwo jeszcze raz przypomina, że pasporty dla robotników sezonowych do Niemiec nie kosztują więcej niż dwa ruble (50 kop. za książeczkę pasportową i dwie marki po 75 kop. na podanie i odpowiedź), i każdy wójt jest obowiązany taki pasport bezpłatnie wystawić. Gdyby kto takiego pasportu z gminy nie mógł otrzymać niechaj zgłosi się do Biura Towarzystwa (Warszawa, Erywańska, 6) osobiście albo listownie, a biuro napisze skargę do naczelnika powiatu i pasport sezonowy zostanie mu wydany.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Kazimierz Gliński: „Bajki Niekrasickiego"; Warszawa 1910 nakł. Jana Fiszera, str. X 160.

— Walery Gostomski: „Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej", nakład autora Kraków 1910. Str. V 74. Cena kop. 60.

— Władysław Grabski: „Materjały w Sprawie Włościańskiej", II. Warszawa 1910. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa str. in 4-o 145. Cena r. 1 kop. 20.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.